



NA SZLAKY BATOREGO

KSIĘGA ZBIOROWA OFICERÓW REZERWY
WILNO 1926

WILNO

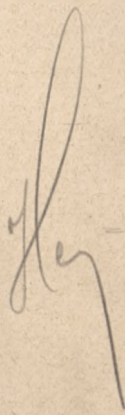
NA SZLAKU BATOREGO

KSIĘGA ZBIOROWA
OFICERÓW REZERWY

*Kolekcja
Emila Kornasia*

WILNO, 1926

WYDAWNICTWO ZWIĄZKU OFICERÓW REZERWY OKRĘGU WILEŃSKIEGO
ODBITO W POLSKIEJ DRUKARNI NAKŁADOWEJ „LUX”, ŻELIGOWSKIEGO, 1

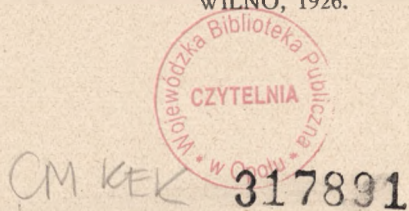
A handwritten signature in dark ink, located in the bottom right corner of the page. The signature is stylized and appears to be a personal name, possibly 'H. K.' or similar.



Fot. J. Bułhak.

Uchwała Sejmu Wileńskiego z dn. 20-II. 1922 r. w sprawie przyłączenia Ziemi Wileńskiej do Polski.

PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE.
COPYRIGHT BY „NA SZLAKU BATOREGO”
WILNO, 1926.



OKŁADKĘ RYSOWAŁ NA KAMIENIU POR. REZ. IGNACY WIDAWSKI.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 87 /2012/ CM



Fotografia Marszałka J. Piłsudskiego z czasów zesłania na Syberję.

Po co grai aforyzmy?! Aforyzm jest grą słów
 i żadnej prawdy nie ma. Lecz gdy wielki poeta w ry-
 my wiersze słowa układa tak to dla nas jest coś więcej
 czytamy i słyszymy i w nich jest coś więcej niż słowa
 układa nieumieia więc. I tymczasem jest, że układa jest grą
 czy tam ewentualnie grą. Wygląda to tak aforyzmy
 próbować rozumieć o czymś więcej i o czymś mniej
 Stwierdzić jednak musimy to nie rozumieć go i o ile więcej
 co obecnie mamy i nie rozumieć go tak i o ile więcej.

Dnia 13/X 1928.

Piłsudski.

Autograf Marszałka J. Piłsudskiego pozyskany dla księgi zbiorowej „Na Szlaku Batorego“.

W GÓRĘ SERCA!

Dobrze jest, że cały szereg ludzi, co twardą żołnierską przeszli służbę, opuszczając armję, organizuje się pod sztandarem Związku Oficerów Rezerwy i nowych dzielnych pracowników stwarza armję.

Dobrze jest, że ci, którzy w dyscyplinie i karności wojskowej przez długie przebywali lata, do nowej służby obywatelskiej wnoszą nietylko zapal i energję twórczą, ale i potrzebną w każdej ważnej robocie karność państwową, narodową i społeczną.

Dobrze jest, że ci, co pod sztandarem, na którym wypisane hasło: „*Honor i Ojczyzna*“, wiernie, wytrwale i z poświęceniem służyli, w nowych pracach swoich, na nowych posterunkach, o dawnych ideałach nie zapominają.

Dobrze jest, że ci, co miłość Ojczyzny nie słowem, ale czynem ofiarnym, wśród huku armat i świstu kul, wśród mnogich trudów i niebezpieczeństw wojennych, stwierdzali — obecnie w pracy pokojowej — mimo wiel-

kich przeszkód i trudności życiowych, w niemożliwych i nieprzyjaznych nieraz pozostając warunkach, miłości Ojczyściej i troski o dobro ogólne i o państwo trwałe i liczne dają dowody.

Dobrze jest, że ci, co wśród wrzawy wojennej dbali o duszę żołnierza i rycerskiego z niej krzesali ducha, obecnie przy swych licznych obowiązkach mają czas na pracę, poświęconą maluczkim, nieoświeconym i nieuświadomionym — w myśl wskazań poety:

- Mnóż się ty jeden przez czyny żyjące,
- A będą z ciebie jednego tysiące!...

I mnożą tysiączne pomysły, byle tylko jak najwięcej ludzi wyrobić na prawdziwych i dzielnych obywateli Państwa Polskiego.

I rozkochanem okiem patrzą na tę bogatą ziemię polską, krwią najlepszych synów użyźnioną, na tę ziemię wolną i wyzwoloną od potrójnych mocarzy i nie trują ni siebie, ni drugich, zwątpieniem i goryczą, wołając jak dawniej, w gorszej dobie, tak i teraz,

nadzieją tchnącym zbawczem słowem:
„*Sursum corda!*”

I widzą, jak cała ta olbrzymia
płaszczyna, co ongi służyła za wi-
downię legendowych bojów, a którą
marszami forsownemi zmierz yli, dziś
znowu powróciła do potrzeb codzien-
nego życia, złoci się zbożem, czer-

wieni kwieciem, mrowi się i zaludnia,
tętni życiem i pracą.

Wpatruje się i śmieje się dusza
polska do Ziemi tej, do słońca rodzi-
mego, do promiennej i potężnej przy-
szłości...

„*Sursum Corda*”

w Waszej pracy!

Stanisław Baudouin
Biskup



Lusowa 12-XI-25
p. Tatunowo

„ Armia Polska spełni swoje prze-
znaczenie, tylko wtedy, jeżeli będzie
polską, nie tylko a naukową, ale
i rodem. Nie domniemy tylko armię
ostawiając i mogąc ją nawet w kry-
tycznej chwili sparaliżować.

Józef Łochowski-Minich

Określenie Wileńskiemu

Związek oficerów rezerwy Przemyskiej,
który zjednoczony i ciągły przy Na Górnym
na szlaku Batorego dzielnie wznosi się nad
narodową wolność i naszą Ojczyznę.

człowiekiem!

4 Karstanie i listopadzie 1925 J. Haller

Autografy Generałów broni J. Dowbora Muśnickiego i J. Hallera,
pozyskane dla księgi zbiorowej „Na Szlaku Batorego”.

NA SZLAKU BATOREGO

Kimkolwiek jesteś, nasz Czytelniku: czy tym, do którego przedewszystkiem pragniemy przemówić, a więc—oficerem rezerwy; czy bliskim mu z przeżyć i dążeń oficerem czynnym, czy też najwięcej pokojowym obywatelem, czującym wstręt do munduru; czy wreszcie — bardzo wojowniczą, uroczą niewiaścą, z politowaniem przyglądającą się naszym marynarkom i żakietom i często wspominającą te czasy, kiedy nam „było do twarzy” w innym zgoła stroju;—kimkolwiek jesteś, Czytelniku, zechciej cierpliwie i uważnie przejrzeć karty tego zeszytu...

Występujemy „zbiorowo po raz pierwszy.

Występujemy nie z okazji jakiejś świetnej rocznicy, lub wielkiego zdarzenia i nie poto, aby się popisać swemi pięknymi talentami, — stajemy prosto na apel, aby przejrzeć swe szeregi, zmierzyć swe siły i znaleźć wspólną drogę, którą możnaby było iść społeczeństwem... Iść naprzód!..

Kim jesteśmy?.. Pragniemy poznać sami!..

Stanowimy masę niejednorodną i barwną, niczem chorągiew rycerska, z panów-braci złożona, z czasów prześlanych, wiekiem Złotym zwanych...

Nierówne mamy cnoty wojskowe, niejednakowe zajmujemy stanowiska społeczne...

Mamy w swem gronie żołnierzy z krwi i kości, liczących dziesiątki lat rzetelnej służby wojskowej i tylko przypadkowo opuściwszy armję; mamy innych żołnierzy, co, wtłoczeni przymusem do szeregów armij zaborczych, przeszli ciężką poniewierkę wojenną na wszystkich frontach, o jakich tylko ktokolwiek kiedykolwiek słyszał,—co pracowali nad stworzeniem pierwszych formacyj polskich i w sercu swem przechowują zaczarowane dźwięki niewyśpiewanej jeszcze najcudowniejszej z epopej — epopei Polski, powstającej z krwi i zgłiszcz;—mamy i takich, co nigdy nie mieli na sobie munduru oficera polskiego i do naszej rodziny weszli bezpośrednio po służbie w armjach obcych, i mamy wreszcie najmłodszych kolegów, rok rocznie uzupełniających

nasze szeregi po ukończeniu „podchorążówek”.

Pod względem roli, jaką odegraliśmy w społeczeństwie, różnimy się jeszcze więcej. Gdzież niema nas? Jakiej się nie imamy pracy? Jakich stanowisk nie zajmujemy?

Posterunkowy policji i... minister; rolnik-osadnik i obszarnek; „siła niewykwalifikowana” i lekarz, inżynier, adwokat nauczyciel... Wszędzie znajdziemy tego oficera rezerwy!..

Tkwimy we wszystkich warstwach społeczeństwa — od najniższych do szczytowych, reprezentujemy wszystkie zawody, stoimy na wszystkich posterunkach; stanowimy w narodzie olbrzymią tyraljerę, rozsypaną jak Polska długa i szeroka!..

I w tem jest nasza przepotężna, choć niewyzyskana siła...

Bo gdybyśmy mogli, lub zechcieli, chociażby tylko zrzadka, tylko w wypadkach wyjątkowych, poczuć się oficerami, a więc członkami jednej wielkiej rodziny, gdybyśmy mogli posłyszeć zgodne bicie dziesiątków tysięcy naszych serc i poczuć ramię przy ramieniu i dłoń przy dłoni, — moglibyśmy, zabierając głos, być słyszanymi w całym narodzie, potrafilibyśmy oddziaływać jednocześnie na wszystkie warstwy społeczeństwa i, kto wie, — może przyczynilibyśmy się do uzdrowienia stosunków ogólnych.

Doprawdy! Czy nie dość już nie-
dołęznego załamywania rąk, czy nie
dość bezpłodnych narzekañ i szeptania
pocichu hiobowych wieści?.. Czy

nie dość wreszcie bezradnego oglądania się naokoło i szukania winnych, byle dalej od siebie?.. Jest niedobrze?.. Więc róbmy, na miłość Boga, tak, żeby było dobrze!.. Ocknijmy się z tej śpiączki ponurej, wyprostujmy swe ramiona, łąpczywie wchłońmy w piersi rzeźwiącego powietrza i zacznijmy wierzyć i pragnąć, pragnąć i dążyć, dążyć i zdobyć!..

I w tej nowej radosnej pracy wielką możemy odegrać rolę my—oficerowie rezerwy, my, którzy nieraz byli na wozie i pod wozem, my—wielka armja bez mundurów, szukająca swych sztandarów.

Połączeni węzłami braterskimi, dzięki wspólnym głębokim przeżyciom, nie stworzymy nigdy (nie potrafimy stworzyć!) partji, broniącej interesów materialnych, bo zanadto różne mamy te interesy; i nie staniemy się (wierzmy!) ślepym, brutalnym tłumem, narzędziem w czymś zbrodnictwym ręku,—mamy inne zadanie—stać się sejsmografem uczuć i dążeń całego Narodu...

Lecz czy to jest możliwe? Czy potrafimy stworzyć mocną organizację? Czy, wreszcie, mamy jakiś wspólny cel; my—tak biegunowo czasem różniący się pod względem wartości intelektualnej, sytuacji społecznej, poglądów ideowych i wykształcenia?..

Mamy jednak ten wspólny cel!
Mamy!

Jest nim—troska o dobro Narodu, spokój i potęgę państwa.

Cel ten wysuwają wszystkie partje

i zrzeczenia, różnimy się od nich tylko tem, iż posiadamy stokrotnie wypróbowaną zdolność do wyrzeczenia się własnych ambicyjek, korzyści, i zaszczytów,—zdolność do podporządkowania się wyższej idei, do wielkich ofiar bez gestów i deklamacji.

Kto, jak my, stojąc w szeregach armji, wobec przeważających sił nieprzyjaciela, zachował potężną wiarę w świetlaną przyszłość naszego Narodu; kto mógł, jak my, poczuć się małą — malusienką (lecz jakże ważną!) śrubką gigantycznej maszyny wojkowej; kto był jedną z milionów szarych, jednostajnych cegiełek muru obronnego państwa, ten na długo zachowa w duszy świadomość odpowiedzialności najmniejszej nawet jednostki—wobec Narodu; ten łatwo znajdzie tlejącą nawet pod popiołem sobkostwa i ospałości isierkę ofiarności i zapalu.

I oto mamy przed sobą zadanie: nie czekać na rozkaz z góry, wkładający na nas mundur wojskowy, i tem jednoczący nas wszystkich, lecz samym rzucić zew w rozproszone zastępy oficerstwa rezerwowego i ożywić senne rzesze... choć na chwilę!..

Czyż nie możemy sami ogłosić „próbnej mobilizacji” sił intelektualnych oficerów rezerwy i skupić się na pewien moment, ot — chociażby około tego samowolnego sztabu, który z czcionek drukarskich ustawia szeregi i rozpoczyna bezkrwawą ofensywę na tych, co się znajdują NA SZLAKU BATOREGO.

Nie chcielibyśmy jednak, aby nas zrozumiano źle.

Bynajmniej nie bierzemy patentu na niezawodny środek uratowania Ojczyzny od wszystkich klęsk i niepowodzeń; nie występujemy w roli proroków i apostołów;—jeżeli zaś mówimy o naprawie stosunków społecznych, to tylko dlatego, iż do tego dążymy i dążyć będziemy, zaczynając pracę od siebie samych.

Pragniemy stać się godnymi obywatelami Rzplitej, nie wyrzekającymi się własnych przekonań, lecz podporządkowującymi je ideom i aspiracjom wyższym,—a wtedy, może, przydamy się nie tylko w swem koleżeńskim kółku, lecz i na szerszej nieco arenie.

Na tem nie koniec.

Jesteśmy, bądź co bądź, nie tylko obywatelami, lecz i oficerami. Znajdujemy się w rezerwie armji i w tej rezerwie doczekamy się (oby!..) sędziwego wieku lat 60!..

Co znaczy wojsko, rezerwy, pospolite ruszenie i t. p. i jaka jest sytuacja polityczna, ekonomiczna i geograficzna Polski,—niema co mówić!..

Rok rocznie od marca (a przy wcześniejszej wiosnie—od lutego) będą wszystkie straganiarki o wojnie, powstaniach, napadach i t. p. strasznych, lecz zawsze modnych rzeczach.

I tak aż do lipca.

Dogadają się jednak kiedyś...

Jeżeli nie my, to nam podobni oficerowi rezerwy wypełnią kadry wojskowe i poprowadzą żołnierzy w bój...

Czyż nie powinniśmy być więcej

przygotowani do takiej ewentualności? Czy nie należy mieć z armją stałą ściślejszej łączności, która będzie podwójnie korzystna: dla nas, jako żołnierzy bez mundurów i dla oficerów czynnych, jako umundurowanych obywateli Rzplitej.

A jeżeli już mówić o wojsku, nie można przemilczeć innej kwestji — lokalnej.

Znajdujemy się na „kresach północno-wschodnich”, na „kresach białoruskich”, na „Litwie”, na „polskiej Syberji”, w „Wileńszczyźnie”, — czasem „w Polsce”; krótko mówiąc—w dość dziwnym geograficznym worku, którego graniczne esy-floresy starannie unikają tych linii, co sam Pan Bóg ręką swą potężną zarysował.

W razie jakiegokolwiek zawieruchy wojennej my pierwsi znajdziemy się w ogniu, zbytnio się nie fatygując daleką podróżą.

A więc tu, na tej ziemi, co tylu wydała dzielnych synów Ojczyzny i tak cudowne ma tradycje, musimy założyć nową kuźnię charakterów i kuć spiżowe postacie niezłomnych bojowników...

Stoimy na szlaku Batorego...

Tędy nie raz, nie dwa przechodziły hufce królewskie, tu szumiały skrzydła husarskie i rozbrzmiewała „Bogurodzica”...

Gdyby tak poszukać w polu i przy drogach, możnaby jeszcze wygrzebać z pod ziemi nie jeden kamień, z którego iskry wykrzeszał koń Batorego...

Dziś—łatwiej z tego kamienia znów ogień wydobyć, niż zapalić serca ludzkie...

Stoimy na szlaku Batorego...

Na tym szlaku, którym naród polski szedł pod wodzą króla-żołnierza ku chwale i potędze; na tym szlaku, dumnym, wspaniałym, który prowadził aż do celu, aż do triumfu!..

Dziś... Urwał się szlak rycerski... Poćwiartowano drogę rycerską... Tamy sztuczne postawili ludzie, którzy skrzydeł za ramionami nigdy nie czuli, którzy wzrokiem sokolim dali bezkresnej nigdy nie mierzyli...

Stoimy na szlaku Batorego...

.

Czy długo będziemy... stać?!





Generał broni L. Żeligowski w otoczeniu wileńskich drużyn sportowych.

Tylko wtedy kiedy armia mała była do
wadoła do stanu doskonałego, potnia była
mucha liery' na dwa jej połowy i podzielił
pokój. Dla tego sygn:

Władzie przygotowania naszej armii do po-
wstania i wojny zmuszają, aby jedyną drogą, aby
jedną drogą, - ponieważ nie nigdy nie może być, co
kiedyś się może, a zawsze na mało.

Złoty i pierwszy system życia i ułożenia
armii, przeważnie w konarach, przeważnie by-
rami i innymi innymi systemami, opierając się
zżyciu się z potęgą.

Złoty i drugi system przygotowania do obrony
Włoch, sadanie oficerów nowego jecha otchny-
mie.

4) Tylko na własne, a nie czyjeś inne siły
podnoszą liery'.

L. Żeligowski.

12/11-25

Warszawa

PRACA OFICERA REZERWY

Pierwsze lata naszego życia państwowego były latami wojny. Wedle słów jednego z rozkazów Marszałka Piłsudskiego „odrazu, od pierwszej chwili życia swobodnej Polski, wyciągnęło się ku Niej mnóstwo pożądliwych rąk, skierowało się mnóstwo wysiłków, by Ją utrzymać w stanie bezsiły, by, jeśli już istnieje, była Ona igraszką w ręku innych, biernem polem dla intryg całego świata”.

Od czasu, gdy rozkaz ten odczytano przed frontem oddziałów armji, upływa szósty rok. Państwo przeszło z życia wojennego do życia pokojowego.

Czy jednak te ręce pożądliwe przestały wyciągać się ku Polsce, czy nie najmiłszą dla naszych sąsiadów byłaby Polska bierna, bezsilna i bezwolna?

Huk strzałów armatnich umilkł na naszych granicach, skończyła się wojna w polu, trwa wojna polityczna, nie kończą się nasze troski o bezpieczeństwo państwa, nie może skończyć się indywidualna i zbiorowa odpowiedzialność za to bezpieczeństwo. Musimy pamiętać we wszystkich naszych po-

czynaniach i zabiegach osobistych i zbiorowych, że mamy sąsiadów, których dusza rosła, karmiąc się jadem nienawiści ku Polsce, których psychika plemienna w ciągu długich lat przyzwyczaiła się do roli władcy w stosunku do polskiego niewolnika. Zmiany ustrojów społecznych, zmiany osobistości kierowniczych u sąsiadów nie wpływają na ich stosunek polityczny do nas.

Codzienną naszą myślą musi być myśl, że żadne z państw kontynentu europejskiego nie ma tak groźnych wrogów — sąsiadów jak my! Oni czekają na sposobność.

Stwierdziwszy to, chcemy być konsekwentnymi i rozumujemy dalej. Jeśli wiemy, że stale grozi nam wojna ze strony naszych przeciwników, a nie chcemy „być igraszką w ręku innych” i nie chcemy stracić państwowego bytu — bo o to chodzi — w takim razie musimy się do tej wojny przygotować tak, by wyzyskać wszystkie rozporządzalne środki moralne i materialne. Nie wolno nam zniszczyć ani jednego źródła siły, nie wolno pozostawić bez

wyzyskania i spotęgowania ani jednego czynnika składowego Obrony Narodowej. A więc, mówiąc bardziej konkretnie, musimy się w czasie pokoju starać o to, by na wypadek wojny wyprowadzić na pole walki najlepszą według naszych możliwości armję, przygotowawszy dla niej najlepsze warunki prowadzenia wojny.

Ogólnie wiadome jest, jak ważną część składową armji walczącej stanowi oficer rezerwy. Przy małej ilości kadrow oficerskich stanowi on olbrzymi procent korpusu oficerskiego. A więc wpływa w sposób wybitny na jakość korpusu oficerskiego pod względem technicznym i moralnym. Tę rolę oficera rezerwy tak dobitnie scharakteryzowali wodzowie ubiegłej wielkiej wojny przy najrozmaitszych sposobnościach. Jakością oficera rezerwy tłumaczą oni zjawiska, decydujące często o wynikach wielkich spraw wojennych. Wszak korpus oficerski to magna pars zwycięstwa lub klęski.

Jeśli oficer rezerwy odgrywa tak wybitną rolę w czasie wojny, to należy się z tem liczyć w czasie pokoju. To znaczy, należy dołożyć starań, aby on wyszedł na wojnę najlepiej przygotowany pod względem, technicznym i moralnym.

Weźmy pod uwagę jego przygotowanie techniczne.

Zmieniają się środki walki, wprowadzając zmianę sposobu ich użycia, a więc zmianę zasad taktycznych. Stale rozszerza się i komplikuje technika wojskowa, wojna podporządkowuje so-

bie coraz więcej czynników siły. Trzeba poznać ich naturę, zdać sobie dobrze sprawę z możliwości, jakie dają, by ich umiejętnie użyć. A jeśli ich nie posiadamy, należy znać ich sposób działania, by działanie to zneutralizować. Dla osiągnięcia tej umiejętności nie wystarczą ćwiczenia, na które z przyczyn natury finansowej tak rzadko powołuje się oficera rezerwy. Musi być zachowany stały kontakt między zawodowcami kadrami a oficerem rezerwy.

Każde większe ćwiczenia garnizonu powinny wydobyć z murów miejskich zastępy oficerów rezerwowych, którzy w tych wypadkach powinni być zwalniani od swych zajęć zawodowych. Patrzmy na Niemców! Postawieni w przymusowej sytuacji, przygotowują oni naród do wojny, przygotowują kadry pomimo oficjalnych zobowiązań. Czy my nie potrafimy zdobyć się na ten entuzjizm pracy wojskowej dla naszych wielkich celów obrony niepodległości wtedy, kiedy oni zdobywają się nań dla celów mniej szlachetnych, bo odwetowych i zaborczych?

A może entuzjizm pracy wojskowej jest nie na czasie? Entuzjizm w tych ciężkich czasach, gdy głowy są stroskane codziennem życiem, a serca wyschnięte wśród rozczarowań i niepowodzeń?... A jednak ten entuzjizm musi być, piersi muszą nim płonąć pomimo wszystko, bo tym entuzjazmem musimy i będziemy musieli powiększać nasze siły, bo tylko umiłowanie pracy wojskowej stworzy u nas Polaków pod-

stawy do zdobycia realnej wiedzy wojskowej i siły moralnej.

Oficer rezerwy, zdobywszy umiejętności wojskowe, musi stać się nauczycielem tych umiejętności i ich krzewicielem w środowisku, w którym spełnia swe codzienne obowiązki zawodowe. W ten sposób pomoże on kadrze zawodowej w jej obowiązkach przygotowania Narodu do wojny, bez jego pomocy kadra tego obowiązku nie spełni.

Czekamy na tę pomoc!

Ale poza tem wiedząc, że wojnę wygrać może tylko skoncentrowany wysiłek całego Narodu, wiemy równocześnie jak mało znajomości spraw wojskowych posiada społeczeństwo. Jak we wszystkich zresztą społeczeństwach, tak i u nas nie docenia się w czasie pokoju doniosłości przygotowania wojskowego na wypadek wojny. Starsze społeczeństwo, które nigdy nie miało zainteresowania do wojska, które było wojskiem zaborczym, myśli o wojsku kategorjami powieści historycznych, przenosi w dzisiejsze czasy pojęcia zaczerpnięte z przeszłości historycznej. Trudno spotkać się ze zrozumieniem realnych potrzeb dzisiejszego wojska i nowoczesnego przygotowania Obrony Narodowej. Jest to zjawisko naturalne. Zagadnienie przygotowania się do wojny nowoczesnej jest tak skomplikowane, wkracza w tyle dziedzin życia społeczeństwa, że aby je zrozumieć i ocenić nie wystarczy wiedza wojskowa, wystarczająca do dowodzenia plutonem i kompanją. To

znaczy, że tę wiedzę należy uzupełniać nawet po uzyskaniu stopnia oficera rezerwy, a uzupełniwszy ją, należy w społeczeństwie propagować ideje nowoczesnej wojskowości, szerzyć zrozumienie zagadnień wojskowych. Bo przecież społeczeństwo przez swych przedstawicieli krytykuje wojsko, stawia żądania pod względem przygotowania wojny, wpływa na organizację wojska i wojny. Oto nowe pole dla pracy oficera rezerwy.

A jakież społeczne wartości moralne może wnieść oficer rezerwy?

Wiemy, że nawet w najzdrowszych organizmach państwowych wre walka stronnictw politycznych. W zaciętrzeniu walk politycznych łatwo zatracić dalsze i rozleglejsze perspektywy przyszłości Państwa; cele dalekie, nawet najważniejsze, zostają przesłonięte celami dnia bieżącego.

Oficer rezerwy, pomny doniosłości Obrony Narodowej dla przyszłości Państwa, biorąc czynny udział w życiu politycznym, może uchronić wojsko od skutków walk politycznych. Może jednak jeszcze więcej zrobić. Może, wprowadzając zagadnienie wojska jako realny czynnik codziennego życia, stworzyć platformę zgody, może złagodzić tarcia i walki polityki wewnętrznej przez skupienie społeczeństwa pod sztandarem doniosłości, nienaruszalności i powagi tak wielkich zagadnień państwowych, jak Obrona Narodowa.

Reasumuję zadania oficera rezerwowego:

Doskonalenie się techniczne i rozszerzanie sprawności wojskowych w społeczeństwie.

Propaganda idei i potrzeb Obrony Narodowej.

Wyzyskanie wielkości i powagi zagadnienia Obrony Narodowej dla skon-

centrowania społeczeństwa na platformie państwowej.

Wszystkie te zadania wymagają zorganizowania wysiłku oficerów rezerwy w ramach organizacji i utrzymania stałego, szczerego i koleżeńskiego współżycia z kadrą zawodową.

Władysław Kozłowski
opracował wstęp do książki

UWAGI NA DOBIE

W czasie wojny broniliśmy granic, obecnie zaś musimy rozbudowywać siły Polski, wzmacniać te siły i potęgować je. Wiemy doskonale, co znaczy stać na posterunku w czasie wojny, dzisiaj winniśmy zajmować posterunki inne — pracy społecznej.

Młode Państwo Polskie zmuszone jest zmagać się o swe mocarstwowe stanowisko. Do zwycięstwa potrzebne mu są nie tylko siły militarne, lecz także duchowe i ekonomiczne. Wobec daleko posuniętej demokratyzacji ustroju państwowego, konieczną rzeczą jest przekształcenie najszerszych mas mieszkańców na obywateli. Te szerokie masy ludności muszą być związane z faktem istnienia Państwa Polskiego duchowo i materialnie. Jest to zadanie ogromne i niezmiernie pilne, wymagające woli i planu działania.

Obowiązek ten spada oczywiście na inteligencję polską, która winna sobie zdać sprawę, że dzisiaj ona jedynie jest odpowiedzialna za przyszłość Narodu i Państwa.

Inne warstwy społeczne do chwili obecnej nie biorą jeszcze tej odpo-

wiedzialności, bo nie są do niej przygotowane.

Musimy więc stać się świadomymi uczestnikami twórczości dziejowej, każdy według uzdolnień i zamiłowania. Nie o błyskotliwe czyny tutaj chodzi, lecz o żmudną, codzienną pracę, zmierzającą do przekształcenia umysłów i dusz szerokich warstw i przygotowania tych mas do współodpowiedzialności za przyszłość Państwa.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że bez Województw Wschodnich nie masz mocarstwowego stanowiska Polski, że wreszcie sąsiedzi wszelkimi siłami dążą do zepchnięcia nas z zajętych stanowisk i że musimy wyteżyc siły, by granice nasze dawały granitowy odpór tym, którzyby próbowali robić w nich wyłom. Nie tylko siła militarna więc nam potrzebna, lecz obok niej siła ducha i siła gospodarcza.

A czyż dzisiaj, gdy nasze Województwa Wschodnie posiadają przeszło 60% analfabetów, gdy rolnik prowadzi najbardziej zacofaną gospodarkę i oprócz zboża i ziemniaków

prawie nic nie wytwarza, czemyśmy mogli konkurować na rynkach, nie mamy obowiązku dołożyć wszelkich sił, by w życiu na „Kresach” nastąpiło poważne przeobrażenie kulturalne i ekonomiczne?

Zdaje się, że ci, którzy o ten kraj walczyli, w pierwszym rzędzie muszą się troszczyć o jego dobro. Czas pokoju bynajmniej nie zwalnia nas z posterunków, jeno tylko miast szabli musimy się uzbroić w energję i wytrwałość.

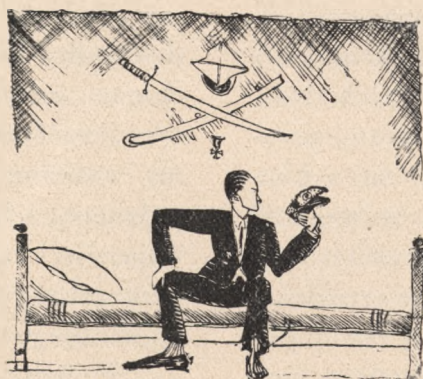
Wielu z nas praca zawodowa związała ze środowiskami prowincjonalnymi, miejmy więc ambicję, by te środowiska czuły naszą obecność. Mo-

żemy sobie znaleźć pracę według uzdolnień i zamiłowania, boć wszystko leży odłogiem i wszystko czeka na energję i czyn.

Na polu gospodarczem, spółdzielczem, czy oświatowem, wszędzie potrzeba ludzi i wszędzie tych ludzi brak.

Mieliśmy możność stykać się z masami w czasie wojny, oddziaływaliśmy na psychikę tych mas w chwilach ciężkich, nierównie łatwiej nam to przyjdzie dziś w czasie pokoju.

Zechciejmy jeno zainteresować się temi zagadnieniami, odczuć ich ważność, a zatem niech idzie czyn oparty na woli.



KILKA UWAG W SPRAWIE PROGRAMU

W Polsce jest dużo ludzi, którzy jedynie żalić się i narzekać potrafią. Niestety mało tych, którzy racjonalnie i wytrwale potrafią dążyć do naprawy.

Któż u nas nie szuka nowych programów, idei, haseł i jak mało jest ludzi, którzy zadowolają się programami skromnymi, ale realnymi. Nie chciałbym, aby Związek oficerów rezerwy poszedł tą utartą drogą. W naszych szeregach niepotrzebny jest spór o naczelne hasło naszej działalności: dobro państwa, czy narodu, czy jeszcze może jakieś inne. Hasła te zbyt często są nadużywane do pokrywania niskich partyjnych interesów, czy demagogii. Związek oficerów rezerwy musi wytrwać na płaszczyźnie ponadpartyjnej i nawet ponadklasowej, gdyż tylko takie stanowisko może mu zapewnić całość i jedność organizacji. Rekrutujemy się z różnych sfer i z różnych klas, musimy więc ten stan faktyczny przyjąć pod uwagę. Różnimy się od innych obywateli tylko tem, żeśmy stali na czele walki zbrojnej narodu o wolność, żeśmy mieli największe zrozumienie dla hasła niepodległości, żeśmy potrafili dobrowolnie, jako ochotnicy, wy-

brać najwłaściwszą i jedyną metodę dojścia do wyzwolenia: walkę zbrojną. Umieliśmy ryzykować wszystko, co posiadaliśmy, gdy inni czekali i przyglądali się, wierzyliśmy w siły narodu, gdy inni w nie wątpili.

Są to cechy, na których można budować program ponadpartyjny, można znaleźć żywotne hasła i idee, których urzeczywistnienia mógłby się podjąć Związek oficerów rezerwy. Nasze pojęcia o interesach narodu i państwa musimy kształtować jako przeciętną interesów poszczególnych warstw narodu. Trzeba zapomnieć o roli historycznej niektórych klas społecznych, a brać ich dzisiejszą wartość i znaczenie w życiu narodu. Jeżeli tego zrobić nie potrafimy, realnego programu pracy nie stworzymy. Wtedy z konieczności brak takiego programu będziemy zastępowali szumnymi patriotycznymi frazesami. Narodowi nie damy rzetelnej uzgodnionej pracy, nie pchniemy biernych dziś szeregów oficerów rezerwy na nowe tory, nie przyczynimy się do uzdrowienia życia społecznego i partyjnego w Polsce.

Na jedno jeszcze pragnę zwrócić

uwagę. Nie traktujmy siebie samych jako warstwę wyższą, uprzywilejowaną w stosunku do innych obywateli, bo wtedy społeczeństwo się od nas odgrodzi, a my nie znajdziemy szerokiej płaszczyzny do rozwinięcia naszej działalności. Nie obniżajmy tego, cośmy zrobili, nie żądamy zapłaty za dokonane czyny.

Przechodząc do zagadnień ściśle programowych, chcę, aby nie było nieporozumień, zaznaczyć, że z przekonania jestem radykalnym demokratą. Wspominam o tem dlatego, aby mnie nikt nie posądzał o chęć przemycenia pocichutku pewnych ukrytych tendencji. Tylko na podstawie zupełnej szczerości możemy pomiędzy sobą dojść do wspólnego języka. Czy Związek oficerów rezerwy ma się zajmować zagadnieniami natury wewnętrzno, czy zewnętrzno - państwowej, czy jednemi i drugimi razem?

Jak to ładnie wygląda nazewnątrz: Doszliśmy do niepodległości, rzućmy dziś hasło polskiego imperjalizmu, hasło wyjścia poza dzisiejsze granice państwowe, budujemy w ten sposób nasze mocarstwowe stanowisko wśród innych państw Europy.

Dzisiaj nie może się to odbyć tylko drogą rozwoju militarizmu, a więc zbyt wielkiej niewspółmierności wydatków na wojsko w stosunku do innych pozycji budżetu państwowego. Wytworzyłoby to zastój życia społecznego, zastój rozwoju kulturalno-oświatowego kosztem rozwoju organizacji wojskowej. Należy więc budo-

wać siły państwa na świadomości szerokich mas obywateli i ich uczuciu patriotyzmem, a nie wyłącznie na sprawności i liczebności organizacji wojskowej.

Wydaje mi się, że siłą faktów rozwój naszego państwa na czas dłuższy został zamknięty w ramach obecnych granic. Dla nas wojna przy słabości organizmu gospodarczego, słabości ekonomicznej i ubóstwie szerokich mas, jest czemś niesłychanie ryzykownem. Wydaje mi się, że nie można upajać się do nieprzytomności zwycięstwem nad bolszewikami w r. 1920.

Do mocarstwowej potęgi i znaczenia dochodziły nie tylko te państwa, które zajmowały olbrzymie terytoria, ale przede wszystkim te, które były potęgami gospodarczemi. Sądzę, że my tą drogą winniśmy pójść.

Z ciemnych biernych mas obywateli, pogrążonych w ciemnocie i ubóstwie, zrobić obywateli oświeconych, gospodarczo-silnych, zadowolonych z państwa i dlatego gotowych stanąć w jego obronie — to są według mnie centralne zagadnienia Polski wyzwolonej. Związek oficerów rezerwy, biorąc pod uwagę doświadczenia naszej walki o wyzwolenie — szczupłość kadr ludzi, gotowych do zrozumienia swego obowiązku w stosunku do ojczyzny, winien rzucić hasło pracy organicznej, cele polityczne usuwając na bok. Przygotujemy masy naszego ludu do odpowiedzialności za losy państwa.

Na wieś i do miasta, w szeregi włościan i robotników nieśmy oświatę, pomagajmy organizować życie gospo-

darcze i społeczne, brońmy od krzywd, gdy się krzywdy dzieją, zwalczamy demagogię, bo ona nie buduje, — to wielki choć codzienny żmudny program. Czyż my, ludzie różnych przekonań i różnych obozów politycznych, nie moglibyśmy wpłynąć na podniesienie się poziomu moralności publicznej, na stworzenie zdrowej opinii publicznej?

Dziś to samo, że się jest członkiem innego obozu politycznego, choćby się było człowiekiem najuczciwszym pod słońcem, wystarcza do narażenia się na odsądzenie od wszelkiej czci przez obóz przeciwny.

Członkowie Związku oficerów rezerwy nie staną się czynnikami uzdrawiającym, gdy będą tolerować podobne postępowanie we własnych obozach politycznych.

Należy wypłenić korupcję polityczną. Nigdy nie mogłem sobie wytłumaczyć dlaczego źródło jest, na przykład, upaństwowienie przemysłu na Górnym Śląsku, gdy jest on wyłącznie w rękach obcych, wrogich naszemu państwu, gdy intensywnie pracuje na szkodę państwa? Dlaczego nie poprzeć robotnika górnika Polaka w jego żądaniach w stosunku do kapitalisty Niemca, który robotnika wyzyskuje może poto, aby płacić olbrzymie składki na walkę z polskością.

Przecież na Górnym Śląsku w wolnem Państwie Polskiem robotnicy boją się w kopalniach rozmawiać po polsku i przyznawać się do polskości, bo to grozi usunięciem z fabryki.

Dlaczegoż obóz prawicy polskiej

nie ma zrozumienia dla tak chyba jasnego interesu narodowego?

Albo reforma rolna. Nikomu nie chodzi o rozwiązanie naprawdę palącego zagadnienia. Ze smutkiem stwierdziłem, że niektóre lokalne Związki oficerów rezerwy dały się wziąć na demagogię jednej ze stron.

Dlaczego w Czechach może rządzić pogodzona lewica z prawicą, a dlaczego u nas tego być nie może? Dlaczego zwalcza się nieraz pewne postulaty klasowe bez wglądnięcia w ich słuszność, dlaczego w nas niema obiektywizmu w sądzeniu.

Podjęmy się pracy uzdrowienia tych stosunków.

O zadaniu dokształcania się militarnego przez nas, jako byłych wojskowych, nie mówię, bo to samo przez się rozumie.

Według mnie więc, musimy sobie, jako Związek oficerów rezerwy, zakresić wąski program: wybrać kilka platform pracy obywatelskiej i na nich sumiennie i konsekwentnie stwarzać nowe wartości życia społecznego.

Niech armja stała pracuje nad postępem ściśle wojskowym, my winniśmy dla niej przygotować opracowany aparat gospodarczy, społeczną organizację, bez których dzisiejszej wojny niepodobna prowadzić.

Zestrzelmy więc nasze wysiłki w karnej codziennej pracy organicznej, a wielkość Rzeczypospolitej napewno poważnie powiększymy, nawet w jej dzisiejszych granicach.

SZLAKIEM BATOREGO

(WOJNA MOSKIEWSKA R. 1577—1582).

Wojny, jakie prowadziła Polska ze swoim sąsiadem wschodnim w końcu XV i w pierwszej połowie XVI w. za czasów Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta Starego, miały jedną cechę wspólną — były to wojny prawie wyłącznie obronne, toczone w celu powstrzymania żywiołowej ekspansji książąt moskiewskich, łączących pod swem berłem całą Ruś i zagrażających ruskim ziemiom Wielkiego Księstwa Litewskiego. Rzeczpospolita, nasycona terytorjalnie, zajęta była regulowaniem swych stosunków wewnętrznych i niechętnie wdawała się w te wojny, które mimo odnoszonych przez Polskę świetnych nawet zwycięstw, kończyły się zwykle utratą pewnych ziem pogranicznych.

Energiczniejsze działania rozpoczęły się dopiero w drugiej połowie panowania Zygmunta Augusta, gdy zjednoczona już prawie całkowicie potęga moskiewska sięgnęła po Inflanty, aby się oprzeć o Bałtyk. Uświadomiwszy sobie niebezpieczeństwo, jakiego dla Rzeczypospolitej wynikło z chwilą zagarnięcia Inflant przez Moskwę, król Zygmunt August w szeregu wypraw, prowadzonych od roku 1560 do 1570 r. osiągnął przekształcenie Kurlandji w księstwo lenne i włączył re-

szczę Inflant do Rzeczypospolitej. Wojna jednak nie była skończona, gdyż zawarto wówczas tylko trzyletni rozejm, a za następców zmarłego w międzyczasie Zygmunta Augusta car Iwan Groźny stale zagrażał Inflantom a w ślad za tem i całej Litwie.

Kres tym roszczeniom i najazdom położyła wreszcie wielka wojna moskiewska, prowadzona z najwyższym natężeniem, uporem i umiejętnością przez Stefana Batorego w latach 1579—1582.

Wojna ta może być datowana jeszcze na kilka lat wcześniej, gdy wojowodowie carscy dobywali zamków i miast w Inflantach, ale dopiero w roku 1577 wojska cara ukazały się w większej liczbie w Inflantach południowych, czyli polskich. W tym bowiem roku car Iwan w porozumieniu z bratem króla duńskiego Magnusem, któremu pozostawił północną część Inflant aż po rzekę Gauzję (Aa Inflancka), postanowił opanować południową ich część. Wyruszył tedy z armją 30.000 z Nowogrodu przez Psków ku Dźwinie w lipcu 1577 r., wysławszy 5.000 oddział na Wolmar. Hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł miał pod swemi rozkazami nader słabe siły, podobnie nieliczne by-

ły załogi po zamkach. Zaciągi ze skarbu królewskiego dały zaledwie kilkuset jezdnych; zajęty wówczas wojną z Gdańskiem, król nie mógł poświęcić więcej uwagi temu teatrowi wojny. Pochód wojsk carskich był też właściwie tylko zajmowaniem i obsadzaniem swemi załogami zamków i miast, które poddawały mu się natychmiast, co nie chroniło bynajmniej niektórych z nich od burzenia ich i od straszliwych aktów srogości i gwałtów, dochodzących do wycinania załogi i ludności w pień. Ten podbój całych Inflant aż po Dźwinę (z wyjątkiem jedynej Rygi) dokonał się w ciągu 2-ch miesięcy i Iwan niebawem odjechał do Moskwy. Ale ta łatwość podboju wynikała jedynie z zaskoczenia Litwinów, trwających do ostatka w złudnej nadziei, że najazd nie nastąpi, oraz z zajęcia króla Stefana walkami z Gdańskiem. To też w jesieni 1577 r., gdy zaczęły do skarbu litewskiego napływać pieniądze z uchwalonych niezwłocznie podatków wojennych, zaczęła się karta powoli odwracać. Szczupłe wojska litewskie, jako też załogi zamków liwońskich, opuszczonych przez księcia kurlandzkiego,—zebrały się nad Dźwiną i stąd powoli odbierać poczęto poszczególne zamki, jak Dźwińsk, Kieś (Wenden), wreszcie szereg innych zamków w południowej Liwonji.

Król tymczasem, ukończywszy wojnę z Gdańskiem, szykował się energicznie do wojny z Moskwą: uzyskał od sejmu nadzwyczaj wielki podatek, po złotemu z łanu, na dwa lata, przyjął w służbę Rzeczypospolitej kozaków, urządził piechotę z wybrańców z dóbr królewskich, ale właśnie dlatego, że nieprzyjaciela nie lekceważył i chciał wystąpić przeciw niemu z całą siłą, pozostawił sprawę walki o Inflanty

przez cały rok 1578 na barkach Litwy. Litwini też nie próżnowali i wreszcie mogli wystawić siły dość znaczne, aby w jesieni 1578 r. stoczyć walkę z 18.000 wojskiem moskiewskim, oblegającym Kieś. Spieszący temu miastu z odsieczą Litwini połączyli się z działającymi w Inflantach Szwedami i rozgromili Moskali na głowę, kładąc przeszło 6.000 trupem i biorąc do niewoli resztki wojska carskiego wraz z 20 działami. Wieść o tem zwycięstwie dodała jeszcze więcej ochoty królowi do decydującej walki, zwłaszcza, że organizacja armji, niewielkiej stosunkowo, ale złożonej z wyćwiczonych, wyekwipowanych należycie i doświadczonych żołnierzy postępowała coraz lepiej. Również i car Iwan, którego posła odprawiono z Krakowa bez udzielenia mu posłuchania, przygotował się do wojny poważnie. Obrawszy główną kwaterę w Nowgorodzie, car ściągnął ku Inflantom wojska potężne, dochodzące do 200.000, zbrojne nieźle, według świadectwa samego króla Stefana, ale pod względem wyćwiczenia ustępujące wojskom Rzeczypospolitej. Wojna formalna została wypowiedziana dopiero w czerwcu 1579 r., gdy oba wojska były już w marszu ku punktom koncentracji.

Przebieg wojny.

Całą tę wojnę charakteryzuje brak decydujących bitew w otwartem polu—wszystkie wybitniejsze jej momenty, to oblężenia zamków i miast warownych, rozsypanych obficie w Inflantach. To też każdą z trzech wypraw tej wojny można zatytułować od oblężeń: połocka — 1579, wielkołucka — 1580 i pskowska — 1581/2 r.

Wyprawa połocka 1579 r.

Moskale, wyparci z południowo-zachodnich Inflant, trzymali się przecież w ich części północnej, a nadto zatrzymywali w swych rękach Połock i szereg zamków na zachód od Dźwiny—Turowl, Krasne, Susza. Teren ten stanowił podstawę działań zaczepnych na Wilno, musiał więc być w pierwszym rzędzie Moskalom odebrany, aby umożliwić dalsze działania w Inflantach. Król Stefan, spędziwszy cały rok ubiegły na pracach organizacyjnych w kraju, mających na celu nietylko zgromadzenie wojska, ale i zapewnienie sobie materiału oblężniczego, niezbędnego na przyszłym terenie wojny, skierował od początku roku 1579 uwagę swoją głównie na skoncentrowanie tegoż na Litwie. Sam już z początkiem lutego przybył do Grodna, a w marcu do Wilna, gdzie spędził całe cztery miesiące na przygotowaniach ostatecznych. Wielkie podatki w pieniądzu i w naturze (poczty panów, prowianty, ręce robocze) umożliwiały szybki postęp tych przygotowań. Działła ściągnięto wodą z Malbarga, Gdańska i Tykocina do Wilna; w następstwie pójda wołami do rzeki Dźwiny i dalej wodą do Dźwiny. Pomogły tu bardzo królowi dobrze zaopatrzone przez ostatniego Jagiellona arsenały, pełne znakomitych dział i prochów. Wszelaki inny materiał wojenny—kule, ołów, proch, saletra, żelazo w sztabach i narzędzia szanćowe zwożono drogą kołową z różnych miast, nawet z Krakowa i Poznania.

Przygrywką do właściwych działań był wypad kawalerji w marcu jeszcze, prowadzony przez hetmana polnego litewskiego, Krzysztofa Radziwiłła. Wdarł się on w Inflanty aż po Kie-

repet i Dorpat, który zburzył, i powrócił, wiodąc wielką zdobycz w jeńcach, działach i bydłe. Koncentracja sił głównych została nakazana w Świrze, leżącym na rozstaju dróg, wiodących ku Pskowu, względnie Połockowi. Na radzie wojennej zdecydował król iść na Połock, wykonując plan, obmyślony już dawniej: wyrzucić przede wszystkim z lewego brzegu Dźwiny siły moskiewskie, zagarnąć Połock, jako podstawę operacyjną wroga, i uczynić z niego mocną podstawę własnych dalszych działań w Inflantach. Ruszył więc dnia 17 lipca, ale nie wprost na Połock, tylko przez Postawy, Głębokie, na Dżisnę, aby tam, przeszedłszy Dźwinę po moście łyżwowym, stanąć pomiędzy Połockiem, a armją moskiewską, działającą w Inflantach. Był to akt, jak na ówczesną strategię, niezwykłej śmiałości operacyjnej. Przodem ruszył Radziwiłł oraz oddziały węgierskie, a kolumna prawa pod wodzą hetmana Mieleckiego osłaniała główne siły od strony Połocka oraz twierdz moskiewskich na lewym brzegu Dźwiny. W Dziśnie odbyto generalny przegląd całej armji—niestety raporty pisarzy polnych nas nie doszły, i dane musimy uzupełniać z innych źródeł. Dane te dokładne posiadamy tylko co do wojska koronnego: na zasadzie rachunków wypłacanego żołdu, płk. Górski obliczył kawalerji przeszło 6.500 i piechoty przeszło 4.800, razem przeszło 11.300 wojska koronnego. Do tego należy dodać poczty pańskie. Jan Zamoyski, kanclerz wielki koronny, przybyły w charakterze cywilnego jeszcze ministra, przyprowadził 600 samej piechoty, inne poczty senatorskie, aczkolwiek mniej liczne, musiały liczyć razem kilka tysięcy. Wojsk litewskich obliczyć tak dokładnie nie

sposób—Górski rachuje je ogółem na 10.000 zaciężnych, ale odciąga prawie 6.000 na załogi w Inflantach, i również pocztów pańskich nie dolicza. Razem więc mogło się zebrać w Swirze—przeszło 15.300 zaciężnych, około 5.000 pocztów pańskich, a zatem przeszło 20.000 żołnierzy, co razem z czeladzią, taborami i chłopami, zabieranymi do pomocy wojsku w robotach wojennych, musiało wynosić przeszło 40.000.

W międzyczasie Moskale próbowali dywersji w Kurlandji. Wyśłani przez Iwana wojewodowie wraz z 20.000 Tatarów kazańskich i nogajskich spustoszyli srodze Kurlandję, zapędziwszy się nawet aż po Birże na Zmujdzi. Ale pomimo, że zagrażali oni lewemu skrzydłu wojsk królewskich, nie dał się król Stefan odciągnąć od głównego celu swych działań i nie wysłał w tamtą stronę żadnego oddziału z sił głównych. Kasztelan żmudzki miał z lokalnymi siłami powstrzymywać najazd, ale do walki nie doszło, gdyż Iwan dowiedziawszy się, że król maszeruje na Połock, odwołał swe wojska z Kurlandji czempredzej, a do Połocka posłał na wzmocnienie załogi, względnie odsiecz, kilku wojewodów. Zastali oni jednak już Połock obleżony i, nie śmiąc uderzyć na wojska królewskie, schronili się w zamku Sokół, czyli Sokoliszczce, potężnie zbudowanym niedawno przedtem przy ujściu rzeczki Niszczy do Dryssy, 30 klm. od Połocka.

Po zdobyciu kilku zameczków około Połocka, król stanął wreszcie dnia 11 sierpnia pod tą twierdzą i natychmiast, dokonawszy osobiście rekonesansu w towarzystwie Bekiesza i Zamoyskiego, zarządził oblężenie. Twierdza Połocka leżała na płaskowzgórzu pomiędzy rzekami Połotą i Dźwiną

i składała się z dwóch zamków—Wysokiego i Strzeleckiego, opasanych fosami i fortyfikacjami ziemno-drewnianymi, z zastosowaniem flankowań. Załoga 6.000 zaopatrzona była obficie w żywność, amunicję i broń palną. Wobec niedostępności twierdzy od strony południowo-zachodniej, wojska polsko-litewskie rozłożyły się na północ i wschód od niej. Dla komunikacji przez Dźwinę służył most pontonowy; drugi, stały — przez Połotę, wezbraną wskutek deszczów. Oblężenie przeciągało się z powodu nasiąknięcia wodą deszczową drewnianych fortyfikacyj, których kule ogniste zapalić nie mogły. Tymczasem w zniszczonym przez wojnę, a ubogim z natury kraju, poczęło brakować żywności. Należało tedy starać się usilnie o podpalenie horodni żagwiami smolnemi, co po wielu bezskutecznych próbach udało się wreszcie dnia 30 sierpnia. Wobec rozszerzania się pożaru zgłosił się wówczas jeden z wojewodów moskiewskich do układów, a inni wojewodowie i biskup miejscowy wzięci zostali do niewoli w chwili, gdy próbowali się wysadzić w powietrze w cerkwi.

Stosownie do warunków kapitulacji, załoga miała do wyboru, albo służyć królowi, albo wracać wraz ze swem ruchomem mieniem do państwa moskiewskiego. Uchodźcy odeszli swobodnie pod eskortą. Zdobyć w Połocku liczono na 38 dział, wiele hakownic i innych materiałów. Naprawiona natychmiast twierdza przez sprowadzonych cieśli z Witebska i Dyneburga, stała się bardzo ważnym punktem oparcia tak dla ziem okolicznych, które wraz z zamkami moskiewskimi (Turowl, Susza) poddały się wojskom królewskim, jako też i dla dalszych działań w Inflantach. Połock otrzymał

WYPRAWY
STEFANA BATOREGO
PRZECIW MOSKWIĘ
W LATACH 1579-82.

→ WYPRAWA DOŁOCKA (1579)
→ WIELKOLUCKA (1581)
→ PSKOWSKA (1581)
DZIAŁANIA UROCZNE

SKALA 1:200,000.



załogę (500 piechoty i 400 kawalerji) a reszta wojska pod Mieleckim zwróciła się z kolei przeciwko biernie obserwującym działania polskie wojewodom, zamkniętym w Sokole. Szturmem zdobyto tę twierdzę, liczącą 6.000 ludzi załogi, okupiwszy to wszakże ogromnymi stratami, dnia 14.IX. Poległo tam przeszło 4.000 Moskali, a resztę zabrano do niewoli wraz z 2 wojewodami. Trzeci z nich próbował się wymknąć wraz z częścią konnicy, ale go niebawem pojmano. Trzej ci wojewodowie, obdarowani przez króla wolnością, nie zechcieli powracać do Moskwy w obawie przed carem.

Zaraz po wzięciu Sokoła odjechał (dnia 17.IX.) Batory do Wilna, a potem do Warszawy. Mielecki dokończył działań wojennych, zdobywszy bez szturmu Suszę z jej wielką załogą i zapasami (6.000 ludzi, 21 wielkich armat, wiele hakownic i innych materiałów), a wojewoda Dorohostajski zdobył szturmem Nieszczerdę. Na leżach zimowych zostawiono część zaciężnych, reszta, wraz z hetmanem Mieleckim, powróciła do kraju.

Równoległe z akcją główną odbywały się wyprawy uboczne. Prawe skrzydło wojsk królewskich od strony Smoleńszczyzny osłaniać miał Filon Kmita. Ten nie ograniczył się do biernej osłony, ale pojął ją w sposób ofensywny: z 2.000 ludzi, przeważnie ochotniczego rycerstwa i kozaków wpadł do Smoleńszczyzny, spustoszył mnóstwo wsi i siół, spaliwszy nawet przedmieście samego Smoleńska, którego wszakże nie dobywał, i uprowadził łupy i jeńców do Orszy. Podobnie postępowali i inni wojewodowie i kasztelanowie kresowi, którzy wypadali przez rzeki Soż i Dniepr aż po Czernihów, Starodub, Radohoszcz i Poczep. W ten

sposób utrzymywali oni w strachu ziemie moskiewskie na całej wschodniej granicy Rzeczypospolitej i odciągali sporo sił od głównego teatru wojny, ale istotne znaczenie strategiczne miała jedynie akcja na północy. Akcja ta doprowadziła bowiem: 1) do zabezpieczenia Wilna od groźby najazdu, 2) do otworzenia drogi do wnętrza państwa moskiewskiego, 3) do umiarkowania tonu Iwana i pretensyj jego w stosunkach dyplomatycznych. To też następna wyprawa odbyć się już mogła poza granicami Litwy, na ziemi moskiewskiej.

Wyprawa wielko-łucka 1580 r.

Wyprawa połocka była tylko wstępem do właściwej wojny—to też sejm, acz po długich debatach i ulegając wymowie Zamoyskiego, uchwalił w styczniu 1580 r. podatki na dalszą wojnę. Znowu więc rozpoczęto zaciągi: Węgrów w Siedmiogrodzie, Polaków i Niemców. Wybrańcy z dóbr królewskich zostali na tę wyprawę nadesłani przez starostów w liczbie około 1.500 chłopów do piechoty. Litewscy panowie, urzędnicy i posłowie zdeklarowali znowu liczne posługi wojenne. Ochotników, zachęconych wynikiem kampanji zeszłorocznej, zebrało się nie mało — cała armja królewska była w r. 1580 znacznie silniejsza od poprzedniej.

Car Iwan również przygotowywał się liczebnie i finansowo. Zwłaszcza liczebność jego wojsk była znaczna, ale jakość tych naprędce spędzonych zastępów była nader licha, a przytem tłumy te nie były skoncentrowane. Nie wiedząc, w którą stronę król się skieruje, gromadził car pułki swoje w Pskowie, Wiaźmie, Dorohobużu, Toropcu

i Starycy, a Smoleńsk otrzymał też znaczne siły.

Król trzymał cel swej wyprawy w kompletnej tajemnicy. Nakazał wprowadzić wojskom gromadzić się w Czaśnikach — pomiędzy Połockiem a Orszą, ale stamtąd można było skierować się albo na wschód—na Smoleńsk i Moskwę, stolicę wroga, albo na północ—ku Wielkim Łukom i Nowogrodowi — czyli przeciwko połączeniom wojsk, działających w Inflantach, z krajem, albo też przeciwko Pskowu — podstawie działań moskiewskich w Inflantach. Nic więc dowiedzieć się i donieść carowi nie mogli licznie wysyłani przez niego gońcy z listami do króla. Dopiero niedaleko już Czaśnik zwołał król radę wojenną i zdecydował iść na Wielkie Łuki. Kierunek ten, poza odcięciem wojsk moskiewskich, działających w Inflantach, przedstawiał jeszcze i te korzyści, że z tego centralnego położenia król mógł najłatwiej przeciwdziałać ewentualnemu zagrożeniu Wilna z kierunków Pskowa, względnie Smoleńska. Wojsko ciągnęło wzdłuż Dźwiny przez Witebsk do Suraza, stamtąd zaś dwiema drogami—główna kolumna wprost na Wielkie Łuki przez Uświat i boczna, osłaniająca od wschodu, przez Wieliz. Wodzem tej kolumny bocznej zamianował król kanclerza Zamoyskiego, który dotychczas nie pełnił żadnych urzędów wojskowych i z wykształcenia był wyłącznie humanistą i prawnikiem. Ale już pod Połockiem widzieliśmy go w radzie wojennej przy boku króla, gdzie się pilnie ze sztuką wojenną zaznajamiał. Orli wzrok króla trafnie przewidywał w tym człowieku wielkiego wojownika i gotował mu drogę do najwyższych godności wojskowych. Kolumna Zamoyskiego ruszyła w sile

6.000 ludzi (w tem 2.000 własnych Zamoyskiego) przodem, przedzierając się z trudem przez gęsty 4 milowy las, zapuszczony przez carów moskiewskich umyślnie dla odgródnienia się od Polski, i dotarła pod Wieliz dnia 3 sierpnia. Ponieważ zaskoczenie tej twierdzy nie udało się wobec czujności załogi, przeto rozpoczęto regularne oblężenie i w ciągu 2-ch dni usypano szaniece i ustawiono 8 dział burzących oraz hakownice. Baterje te, jakoteż podpalenie ścian z początku przez Węgrów, a potem i przez „Czarną” piechotę Zamoyskiego, wywarły swój skutek: już dnia 6 sierpnia przerażona załoga poddała się na łaskę. Zamoyski, uradowany ze swego pierwszego samodzielnego sukcesu, zawiadomił niezwłocznie króla o zdobyciu twierdzy i rozdał swoim podkomendnym sute nagrody pieniężne. Istotnie sukces był znaczny: twierdza liczyła 1.600 ludzi załogi i dział 14. Ale najważniejszym skutkiem zdobycia tej twierdzy było opanowanie całego biegu Dźwiny i usunięcie ostatniej większej zawady dla działań na Wielkie Łuki.

Kolumna króla wyruszyła z Czaśnik nieco później ze względu na opóźnienie wojsk, zwłaszcza koronnych, ściągających się albo z głębi kraju, albo z Ukrainy i Podola. Litwini oczywiście przybywali szybciej. Również i sprawa dowództwa wymagała uregulowania z powodu nieobecności hetmana wielkiego koronnego Mieleckiego i spóźnienia hetmana polnego Sieniawskiego. Hetman nadworny Jan Zborski sprawował dowództwo tylko nad „weteranami” gdańskimi. Jedynie obaj hetmani litewscy, Radziwiłłowie, ojciec i syn, stawili się na czas. Wobec tego król zatrzymał naczelne dowództwo przy sobie, a dowództwa podleg-

łe porozdzielał pomiędzy obecnych hetmanów i kilku innych dowódców. W marszu już nadciągnął z żołnierzem kwarcianym Mikołaj Sieniawski, hetman polny koronny, a cała kolumna królewska rosła dalej, gdyż dopędzały ją oddziały spóźnione. Około Suraza nadszedł raport od Zamoyskiego o zdobyciu Wieliza. Król przybył natychmiast, zwiedził zamek i podziękowawszy Zamoyskiemu, polecił mu maszerować dalej traktatem smoleńskim i połączyć się z kolumną główną przed Wielkimi Łukami. Sam wrócił do Suraza, skąd, po zbudowaniu mostów przez Dźwinę, kolumna główna ruszyła 10 sierpnia wzdłuż rzeki Uświaty, która służyła do transportu dział i taborów. Po kapitulacji zamku Uświat, w dniu 16 sierpnia, droga do Wielkich Łuk stała już otworem. Zdobyto tam osiem armat i sporo materiału, ale go z sobą nie zabierano, gdyż złe drogi utrudniały transport, a nie można było już dalej posuwać się wodą w górze rz. Uświaty. Wysławszy oddział w bok na zdobycie Newła, dotarł król dnia 23.VIII. do klasztoru Koptia, dwie mile od Wielkich Łuk, gdzie 26. VIII. dołączyła się i kolumna Zamoyskiego. Ten, zostawiwszy małą załogę w Wielizu, maszerował po bardzo trudnych drogach, ale nie napotkał większych sił nieprzyjaciela i dotarł do głównych sił w czasie i miejscu wskazanem. W ten sposób zadanie strategiczne zostało spełnione znakomicie: cała siła królewska, z bardzo małemi stratami, nie uszczuplona przez zostawianie załóg, owszem zwiększona przez dociągające oddziały, dotarła do celu swych działań i miała przed sobą już tylko zadanie taktyczne, zdobycie fortecy. Armia ta przedstawiała się nader okazale: stan jej

bojowy (oprócz ciurów obozowych) wynosił około 35,000, a mianowicie: przeszło 9.000 kawalerji i przeszło 8.300 piechoty; suma wojsk koronnych około 17 i pół tysiąca. Litwinów naogół było 12.700. Razem wojsk zwyciężnych przeszło 30.000 i około 5.000 ochotników i pocztów pańskich. Dział około 30-tu. To też nic dziwnego, że 6-cio do 7-mio tysięczna załoga moskiewska Wielkich Łuk spoglądała na tę potęgę z przerażeniem.

Car Iwan uległ w tym czasie zupełnej, chociaż przemijającej depresji. Pomimo, że miał dobrą sposobność do uderzenia na rozciągnięte na złych drogach siły polskie, zakazał on swoim wojskom bić się w otwartym polu i słał listy za listami do króla, prosząc o powrót we własne granice, względnie o zatrzymanie pochodu do czasu przybycia jego posłów z propozycjami pokojowemi. Nie odnosiło to skutku, i posłowie carscy jechali za królem aż do Wielkich Łuk, gdzie przyjęci dnia 29 sierpnia zachowywali się, wbrew dawnym butnym obyczajom posłów moskiewskich, bardzo pokornie i czynili coraz większe ustępstwa. Akcja ich jednak powodzenia nie odniosła i walka trwała dalej.

Wojewodowie moskiewscy, kierujący obroną Wielkich Łuk, zadufani w siłę fortyfikacyj, osłoniętych grubemi nasypami ziemnymi i wodą, oraz w obecność w pobliżu wojsk polowych moskiewskich, nie godzili się na kapitulację. Wobec tego po rekonesansie, który król odbył zaraz po przybyciu, przygotowywano się przez dni kilka przez otoczenie swego obozu wałem, rowem i taborami, a potem dopiero Zamoyski, który kierował całym oblężeniem, rozpoczął kanonadę, ogłosiwszy wielkie nagrody za podpalenie

twierdzy. Po kilku nieudanych próbach udało się wreszcie podsunąć się wykopanym rowem i w nocy z 4 na 5 września podpalić jedną wieżę, nieosłoniętą ogniem działowym, a po rozszerzeniu się pożaru, gdy cała armia szykować się poczęła do szturm, załoga się poddała. Warunki kapitulacji były jak i wszędzie, łagodne, ale żołnierze, niezadowoleni z tego systemu wypuszczania wolno wrogów i nie dopuszczania do rabunków, rzucili się do zamku, rabując i mordując mieszkańców. Zanim udało się temu przeciwdziałać, ogień dostał się do prochów, które wyleciały w powietrze, grzebiąc około 200 rabusiów i wielką część załogi pod gruzami. Cały zamek zgorzał doszczętnie. Batory nakazał inżynierom włoskim, będącym na jego żołdzie, odbudować zamek natychmiast, i sam dopilnował tego wykonania, gdyż dla dalszych swych działań w roku następnym przywiązywał do Wielkich Łuk ogromne znaczenie.

Wojska moskiewskie tymczasem zachowywały się naogół biernie, przeskadzając tylko furazowaniu i stanowiąc przecież groźbę nieustanną. Kmita, jak w roku zeszłym, ruszył pod Smoleńsk, ale teraz został we wrześniu przez 25.000 armję moskiewską pobity. Zato Zbaraski, wysłany pod Toropiec, pobił kilkunasto-tysięczny oddział moskiewski. Król, uspokojony co do rezultatów wyprawy, wyjechał 30 września do Wilna, zostawiwszy wprowadzonego ze Smoleńszczyzny Kmitę z 1.000 piechoty i przeszło 1.000 kawalerji załogą w Wielkich Łukach i wydawszy zarządzenia co do zdobycia kilku zamków, trzymających się jeszcze w rejonie między Wielkimi Łukami a Połockiem. Zdobyto je w ciągu września i października. Najdłużej,

bo aż do 23. X. i najdzielniej trzymało się Zawołocz, zbudowane na wyspie jeziora Podsoś, ale na widok bardzo skomplikowanych przygotowań do szturm, zarządzonych przez Zamoyckiego, załoga, znużona bezustannem kilkudniowem bombardowaniem, zwątpiła w skuteczność dalszej obrony i poddała się Polakom.

Było to zakończeniem działań głównych — ale uboczne trwały jeszcze dalej. Kmita, zostawiony załogą, urządził z Wielkich Łuk wycieczki aż po Chołm, a wreszcie sam zapędził się aż do Starej Russy, gdzie bezkarnie przez czas dłuższy rabował. Nad Dnieprem kozacy pod Oryszowskim niszczyli kraj aż po Starodub. Nie miało to jednak większego znaczenia; — ważniejsze były prace przygotowawcze króla i Zamoyckiego na sejmie, zwołanym na styczeń 1581 roku, celem uchwalenia podatków na trzecią, decydującą wyprawę.

Wyprawa Pskowska 1581/82 r.

Nowe podatki wojenne uchwalone zostały przez sejm w styczniu 1581 roku z myślą zakończenia wojny. Energia, z jaką król prowadził tę wojnę, ciążyła już sejmującym stanom, przyzwyczajonym do taniego i leniwego wojowania, to też król otrzymał dostateczne na prowadzenie wojny pieniądze, dopiero rzekłszy się królewskich dóbr Jagiellonów na rzecz państwa. Wobec tego musiał król powściągnąć swe szerokie plany polityczne, sięgające znacznie poza Inflanty — bo aż do Moskwy, i dążyć do osiągnięcia celu najbliższego, opanowania Pskowa, a przez to i całych Inflant. Podatki miały wpływać szybko do kas, co zostało również zawarowane niezwykłymi w ówczesnych warunkach

sankcjami prawnymi. Werbunek odbywał się więc rażno w różnych punktach; suma piechoty zaciągniętej pod Psków, wynosiła prawie 11.000, a Zaporozców na Podolu było 530. Jazdy pod Psków, oprócz wolontariuszów z Korony i Litwy—przeszło 10.000. Niedoliczeni są do tego puszkarze, ich pomocnicy i t. d. — Ogółem, razem z różnymi ochotnikami z kraju i nawet z zagranicy, można armję Batorego osądzić na 30.000, a jak pewne źródła podają, nawet 50.000 rycerstwa, stan prowiantowy zaś wynosił przeszło 100.000.

Wojsko to jednak zbierało się nader powoli ku zniecierpliwieniu króla, który radby był rozpocząć wyprawę jaknajwcześniej. Z 10.000 tedy wyruszył z Wilna dnia 20 czerwca do Dżysny, stamtąd, na wieść o próbie wzięcia przez Moskali inicjatywy w swoje ręce i o wtargnięciu 45.000 armji moskiewskiej w Orszańskie, wysłał przeciwko nim Krzysztofa Radziwiłła z 3.000 jazdy, a z resztą czekał w Dziśnie do 15 lipca. Po przybyciu artylerji i kilku pocztów pańskich wyruszył przez Połock do Zawołocza, skąd, po postanowieniu na radzie wojennej dobywania Pskowa i po skompletowaniu całej armji, ruszono na Woroniec pod Psków, gdzie stanęła armja królewska dnia 24 sierpnia, zdobywając po drodze zamek Ostrów. W obozie pod Woroncem ogłoszona została dnia 11 sierpnia 1581 roku nominacja Zamoyskiego na hetmana wielkiego koronnego z zaznaczeniem dożywotności tego urzędu i z zatrzymaniem jednocześnie stanowiska kanclerza wielkiego koronnego. Pozycja Zamoyskiego wzrosła w ten sposób niesłychanie. Na świętym przeglądzie wojsk, zarządzanym przez króla dnia 13 sierpnia pod Woroncem występował już Zamoyski w no-

wej roli, a nadal, aż do końca życia, sprostął trudnym obowiązkom obu urzędów znakomicie, ale zasada dożywotności na stanowisku naczelnego wodza zaciążyła później bardzo na rozwoju wojskowości polskiej w sensie, należy przyznać, ujemnym. Zasada ta była wszelako w zgodzie z całym ustrojem oligarchicznym Rzeczypospolitej, a dożywotność urzędów, zwłaszcza wojskowych, ograniczała bardzo władzę królewską, co było stałym dążeniem i magnatów i szlachty.

Psków był wówczas najsilniejszą twierdzą w całym państwie moskiewskim, ufortyfikowaną wskutek sąsiedztwa z zakonem kawalerów mieczowych już w XIII wieku przez litewskiego księcia Dowmunta na wzór europejski, murami, w przeciwieństwie do pozostałych, otoczonych drewnianymi częstokołami i wałem. W czasach późniejszych również wzmacniano fortyfikacje. Załogą, liczącą do 7.000 jazdy i 50.000 zbrojnego ludu, a zatem bodaj silniejszą od oblegających, dowodzili dwaj dzielni kniaziowie Szujscy. Wobec tego wezwania do kapitulacji oczywiście skutku nie odniosły i przystąpić musiano do regularnego oblężenia. Naturalnie, należało się jąć tu już innej taktyki, niż przy obleganiu Połocka czy Wielkich Łuk: gdy tam wobec ziemnych umocnień pociski artyleryjskie nie działały, a należało wznieść pożar drewnianych wież i wnętrza twierdzy, to tutaj trzeba było posługiwać się burzącym działaniem pocisków artylerji. Dnia 7 września osiągnięto nawet nieznaczny wyłom i szturmem opatowano dwie baszty, ale ogień, skierowany na nie ze strony miasta i przeciwnatarcie załogi zmusiło Polaków i Węgrów do odwrotu, ze stratą kilku tysięcy ludzi. Padł wtedy znakomity

doradca wojskowy króla, Gabryel Bekiesz. Nowe szturmy i wyłomy stały się rzeczą trudną wobec braku prochu, z którego tak wielkim ekspensem nie liczył się król dostatecznie podczas przygotowań. Podkopy minowe nie osiągnęły rezultatów wskutek kontrminy obłożonych i natrafienia na te-

ny i urządzający ciągle dywersje przeciw Polakom klasztor Pieczarski, położony w pobliżu Pskowa. Można zatem powiedzieć, że oblężenie groziło nieudaniem się, pociągając za sobą chybienie celu wyprawy, gdyby nie przyszły królowi na pomoc dwa wypadki, które wpłynęły na cara w kie-



Stanisław Matusiak
por. rez.

Śmierć Bekiesza
podług legendy wileńskiej.

ren skalisty. Ograniczono się więc do blokady, dość skutecznej, bo uniemożliwiającej przybywanie posiłków. Kilka też oddziałów odsieczy pobito; najznaczniejszy z nich był 7.000 oddział, wysłany z Nowgorodu. Ale oblężenia nie posuwało to naprzód. Podobnie niefortunnie oblegano ufortyfikowa-

runku pokojowym. Pierwszym z nich była zuchwała wyprawa Krzysztofa Radziwiłła aż pod Starycę nad Wołgą, drugim zaś wystąpienie Szwedów.

Wyprawa Krzysztofa Radziwiłła, opiewana szeroko przez Jana Kochanowskiego jako „Jezda na Moskwę” była istotnie czynem strategicznym pier-

wszorzędnej wagi. Wysłany w 3.000 koni, jak to już wspominaliśmy, jeszcze w lipcu dla odparcia armji moskiewskiej, grasującej w Orszańskim, rzucił się Radziwiłł na jej tyły i zmusił do ustąpienia, a następnie spustoszył cały obszar, znajdujący się w tak zwanej bramie smoleńskiej, pomiędzy rzekami Dźwiną i Dnieprem. W sierpniu, podczas marszu armji królewskiej na wschód przesunął się z pod Dorohobuża ku Wielkim Łukom celem zabezpieczenia armji, oblegającej Psków — od strony Moskwy. Postanowiwszy osłonę tę wykonać w sposób ofensywny, połączył się pod Toropcem z oddziałem Kmity i razem, w 7.000 koni, przedsięwzięli wyprawę przez Rzew i Zubcow aż pod kwaterę główną Iwana w Starycy. Napędziwszy mu strachu i spustoszywszy olbrzymi szmat kraju, cofnął się Radziwiłł, nie spiesząc się, pod Chołm, stamtąd ruszył na Nowogród, dotarł do Starej Russy, bijąc kilkakrotnie wojewodów moskiewskich, poczem połączył się z królem około Pskowa dnia 22.X. Odebrało to do reszty ochotę carowi do próbowania szczęścia w otwartem polu i ubezpieczyło świetnie armję oblegającą, a co najważniejsza, skłoniło cara do upoważnienia legata papieskiego, Antoniego Possewina, do popchnięcia naprzód sprawy układów, które toczyły się w międzyczasie bardzo mozolnie. Drugim impulsem pokojowym było wystąpienie korpusu szwedzkiego Pontusa de la Gardie, który umacniał się w Estonji, zajął Narwę i groził posuwaniem się dalej w głąb Moskwy.

Układy pokojowe były, należy to przyznać, bardzo na rękę Batoremu, to też z punktu wojskowego niesłuszne są narzekania niektórych historyków naszych na fatalną jakoby rolę

Possewina, odegraną pod Pskowem, co znalazło nawet wyraz jaskrawy w znakomitym Matejkowskim obrazie. Brak było zapasów prochu dla dobywania tak potężnej fortecy, brak pieniędzy na dalsze opłacanie licznej armji, sejm wyraźnie się zastrzegł, że nowych podatków na wojnę nie uchwali, a wojsko sarkąło coraz wyraźniej, znużone długotrwałem oblężeniem, niewypłacaniem żołdu na czas i nękanie srogimi mrozami wcześniej następującej zimy. Tylko solenne zapewnienia króla wypłaty żołdu niebawem, silna wola i mir, jaki miał Zamoyski, wreszcie nadzieja rychłych układów o pokój, uspokoiła wzburzone umysły i nie dopuściła do sromotnego odstąpienia. Dnia 1 grudnia odjechał Batory z częścią sił do Wilna, rzekomo dla sprowadzenia pieniędzy i prochów, a w rzeczywistości bodaj, aby uchronić majestat królewski od możliwej kompromitacji. Zostawił wszelako na leżach zimowych hetmana Zamoyskiego, który, będąc świadom ciężkiego położenia, z jednej strony wprowadził dla wojska jaknajwiększe ulgi w pełnieniu służby i udogodnienia kwaterunkowe i żywnościowe, z drugiej zaś prowadził blokadę twierdzy nadal i odpierał zwycięsko urządzone wycieczki. Twierdza zresztą również była w położeniu niewesołym z powodu braku żywności i chorób, ale trzymała się dzielnie i wytrzymała do końca. W ten sposób doczekały się obie strony podpisania rozejmu i traktatu dnia 15 stycznia 1582 roku. Zamoyski radą swą i ustępliwością w sprawach formalnych przyspieszał jego zawarcie, gdy jednak podpisany traktat mu przywieziono, zdjął oblężenie bez pośpiechu, po opuszczeniu wielu zamków inflanckich przez załogi moskiewskie, dopiero 6 lutego.

Z pod Pskowa wyruszył do Dorpatu, głównego siedliska władzy moskiewskiej w Inflantach, które w myśl traktatu miały całkowicie odejść do Polski. Stamtąd, triumfalnym już pochodem, przeszedł przez całe Inflanty do Rygi, gdzie powitał króla 13 marca i niebawem wojsko rozpuścił.

Uwagi ogólne.

Wojna moskiewska stanowi główny tytuł do sławy wojennej Batorego. Sława ta opiera się na działalności bardzo wszechstronnej, bo organizatorskiej i strategiczno — taktycznej.

Jako dobry organizator, dostrzegł król przedewszystkiem i wytknął to od razu nawet posłom, zapraszającym go na tron, wady organizacji pospolitego ruszenia, polegające na zabronieniu dzielenia go na części, nie wyprowadzaniu go za granicę i krótkotrwałości jego użycia. Wobec jednak niechęci szlachty do zmiany tradycyjnego sposobu wojowania, Batory nigdy nie używał pospolitego ruszenia, a nawet, jeśli wydawał już dwoje wici, to zamiast trzecich ogłaszał zwolnienie szlachty od tego obowiązku, oczekując wzamian łatwiejszego uchwalenia podatków na żołnierza zaciężnego. I chociaż nie udało mu się zdyskredytować do reszty tego już wówczas przeżytku, i chociaż pospolite ruszenia przetrwały jeszcze przez cały wiek XVII bez żadnego dla Rzeczypospolitej pożytku, a raczej na jej szkodę, — to sam posługiwał się tylko żołnierzem zaciężnym. Gros kawalerji zaciężnej stanowili Polacy, których taktyka kawaleryjska uderzania cwałem już się w ciągu wieku XVI wyrobiła i udoskonaliła, i którzy niewątpliwie górowali wówczas nad kawalerją całej Europy, ale zaciągani

byli do niej również i inni — nieco Węgrów, do których miał Batory szczególne upodobanie, trochę Niemców i sporo Tatarów. O wyekwipowanie swej kawalerji dbał bardzo, zmienił ciężkie kulbaki na lżejsze siodła, zbroję i oręż przepisywał dokładnie, podkreślając natomiast, że wszelkie skrzydła i pióra są rzeczą drugorzędną, i zostawiając te przybrania do woli i upodobania każdego. Ale kawalerja ta nie wymagała wielkich reform, przeto działalność organizatorska Batorego zaznaczyła się najwybitniej w dziedzinie piechoty, bardzo mu potrzebnej w jego wojnach, toczonych głównie jako szereg oblężeń. Zaciągał ją więc usilnie w całej Polsce, ale napotykał wielkie trudności, gdyż w rolniczym kraju mało było po miastach ochotników do służby wojskowej, a szlachta zazdrośnie zabraniała zaciągać się do wojska swoim pańszczyźnianym chłopom. Dążył więc Batory do innych rozwiązań. Najbardziej ciekawym jego pomysłem, rokującym wielką przyszłość, ale niestety niedbale wykonywanym i wreszcie porzuconym z końcem następnego stulecia, była instytucja wybrańców z królewszczyny, czyli dóbr Rzeczypospolitej, oddawanych przez króla w dzierżawę starostom. Z każdych 20 łanów miał pełnić służbę wojskową jeden chłop — gospodarz, zwolniony od wszelkiej robocizny i danin, które wzamian mieli odbywać gospodarze, siedzący na pozostałych 19 łanach, a za to miał on co 3 miesiące stawać przed swym rotmistrzem (zawsze ze szlachty) na musztrę z rusznicą, siekierką, szablą, w sukni o barwie danej roty, (przeważnie błękitnej), na wojnę zaś wyruszał kosztem własnym z prochem i ołowiem, dostając wtedy żołd narówni

z resztą piechoty. Był to zatem związek żołnierza stałego, podobnie jak wojsko kwarciane, ale ponieważ nie był to, jak kwarciani, żołnierz, zorganizowany w stale będące pod bronią oddziały, tylko wzywany od czasu do czasu na ćwiczenia, a pozatem pracujący na roli, przeto starostowie niechętnie tego żołnierza dawali, bojąc się utraty rąk roboczych i nie chcąc, aby chłop zhardział w służbie wojskowej. Popierały ich w tem i sejmy szlacheckie, które obawiały się rozciągnięcia tej praktyki i na dobra dziedziczne i duchowne. To też zamiast kilkudziesięciotysięcznej siły nie mógł Batory wyciągnąć nawet pod silną presją ponad 1.800 ludzi, a nigdy wybrańców w wojsku nie było ponad 2.000 i z braku dostatecznego wyszkolenia spełniali oni zadania drugorzędne.

Próbował też Zamoyski za radą Batorego zaciągać piechotę t. zw. szlachecką i nawet w wyprawie 1581 r. posiadał 630 ludzi szlachty szaraczkowej, ale niebawem instytucja ta zamarła, gdyż szlachta uważała sobie za ujmę służyć w piechocie.

Pierwszy raz za Batorego byli też przyjęci na żołd królewski piesi kozacy zaporoscy w liczbie nieznaczej (koło 500 głów). W następnych czasach kozacy coraz bardziej rośli w liczbę i z wiernych początkowo obrońców Rzeczypospolitej przekształcili się w żywioł niezależny i groźny dla państwa, wybuchając wreszcie strasliwym buntem Chmielnickiego.

Oprócz tych trzech rodzajów piechoty, jakie można nazwać polskimi, zaciągał Batory i cudzoziemców — przeważnie Węgrów, a prócz tego znaczną ilość Niemców i garstkę Szkotów. Piechota Batorego tworzyła więc znaczną pstrokaciznę językową, nieujednostaj-

nioną organizacyjnie, gdyż zaciągana doraźnie — dopiero walki XVII wieku wytworzą z tej piechoty jednolity organizm, niestety o typie nie polskim, ale niemieckim, jako t. zw. autorament cudzoziemski. Zasługą Batorego było położenie wielkiego nacisku na konieczność organizowania licznej piechoty i dostarczenie jej możliwości utrwalenia się w armji Rzeczypospolitej.

W dziedzinie artylerji niewiele potrzebował Batory uczynić, zastał bowiem arsenały w Tykocinie, Lwowie i Krakowie wypełnione przez Zygmunta Augusta mnogością doskonałych dział i pocisków, zato inżynierja i saperzy winni widzieć w królu Stefanie bardzo pilnego swego orędownika. Pod jego nadzorem zbudowano w Kownie most pontonowy, który można było transportować albo lądem, albo wodą. Podczas przeprawy przez Dźwinę most ten ustawiono jakoby w ciągu trzech godzin — sprawność niezgorsza nawet w chwili obecnej. Miał też król w swoim sztabie osobnego kierownika robót saperskich — szancmajstra Ludwika Wedla, oraz szereg inżynierów włoskich tak dla robót oblężniczych, jak i do odbudowywania i naprawiania zdobytych fortec.

Działalność organizatorska Batorego w tej dziedzinie wiąże się z jego planami strategicznymi. Przygotowania do wojny moskiewskiej zdradzają nie tyle reformatora, upojonego wymarzeniami lub widzianami gdzie indziej projektami, ile raczej strategika, liczącego się z warunkami wojny na danym teatrze. W całej dbałości o piechotę, artylerję, inżynierję, tabory, znać rzetelnego, trzeźwego praktyka i dalekowzrocznego, a ostrożnego wodza. Wspomniałem już o tajemnicy, jaką otaczał do ostatniej chwili wybór kie-

runku swej wyprawy, o trafnym wyborze miejsca koncentracji wojsk, mylącego przeciwnika, wreszcie o doskonałym doborze współpracowników, o tym orlim wzroku wodza, wyczuwającym w palestrancie Zamoyskim znakomitego w przyszłości hetmana.

Świetnego wodza charakteryzuje też i doskonałe użycie wojsk. Zasada koncentracji sił przeprowadzona jest w jego wyprawach do ostateczności; zagrożoną Żmujdź broni on tylko siłami lokalnymi, nie odrywając ani części od kolumny głównej; pochody jego, rozczłonkowane celowo, zaczynają się i kończą w miejscu i czasie zgóry oznaczonym, nagromadzone w rejonie Smoleńska siły moskiewskie trzyma w szachu dwutysięcznym oddziałem Kmity, wreszcie na znakomity zagon Krzysztofa Radziwiłła pod Moskwę przeznacza tylko te siły, które i tak stały beczynn timer, jako osłona od wschodu. Znakomity znawca i protektor piechoty, umie Batory świetnie

użyć i kawalerji—świadczą o tem znów wspomniane szalone jej zagony aż pod stolicę Iwana i pokonywanie przez nią zawrotnych przestrzeni carstwa moskiewskiego. Wreszcie, i to też nienajmniejszy tytuł do sławy Batorego i jego współpracowników—nauczył on armję Rzeczypospolitej walczyć z przyrodą, pokonywując cierpliwie szalone mrozy z wytrwałością, do tychczas w wojskach naszych niebywałą. To też nic dziwnego, że obóz Batorego był jakgdyby koniem trojańskim, z którego wyszła moc rycerstwa przedniego i wodzów znamienitych — Zamoyski, Żółkiewski, Zborowscy, Marek Sobieski i mnóstwo pułkowników i rotmistrzów, których tradycja zapłodziła i uświetniła czyny ich następców w bohaterskim dla armji polskiej wieku siedemnastym. Za pchnięcie wojsk Rzeczypospolitej na te tory bohaterskie należy się Wielkiemu Królowi cześć i uwielbienie.

BIBLIOGRAFJA

(Obejmuje tylko ważniejsze i bardziej dostępne dzieła):

1. GÓRSKI. Historia piechoty polskiej.
2. „ Historia jazdy polskiej.
3. „ Historia artylerji polskiej.
4. „ Wojna z Moskwą za Batorego.
5. HUPERT. Historia wojenna polska.
6. JAN KOCHANOWSKI. Jezda do Moskwy.
7. KORZON. Dzieje wojen i wojskowości polskiej.
8. KUKIEL. Zarys historii wojskowości w Polsce.
9. X. JAN PIOTROWSKI. Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków.

Z PRACOWNI WILEŃSKICH ARTYSTÓW — OFICERÓW REZERWY



STANISŁAW MATUSIAK
por. rez.

BITWA
(szkic olejny)

U S Z A

(31-I. 1918 r.)^{*}

Dzieje I-go Korpusu Polskiego, pomimo historii tej formacji w trzech tomikach generała Dowbora-Muśnickiego i monografii pułk. Bagińskiego, nie są jeszcze znane dokładnie, nie są wszechstronnie zbadane i, zamknięte w tych przedewszystkiem pracach, dają zaledwo zarys ogólny. Tymczasem mnóstwo większych i drobniejszych epizodów, tak nieraz charakterystycznych i obrazowych, tak ciekawych i indywidualnych spoczywa zaledwo w uczestników pamięci, zasnuwającej się mgłą zapomnienia, zapada w przeszłości niedalekiej, a już nieraz nieuchwytniej, odrębnej od dnia dzisiejszego, jedynej w swoim rodzaju.

Jednym z takich epizodów była droga 5-go pułku strzelców II-iej dywizji polskiej z Zubcowa do Bobrujska w ostatnich dniach stycznia 1918 r., zakończona nieszczęśliwą walką zbrojną z Moskalami pod Uszą, o której słów parę tutaj nadmienić chcemy.

W zapadłej mieścinie powiatowej gubernji twerskiej, nad Wołgą i jej dopływem, wartką Wazużą, rozrzuconej, w Zubcowie formowała się i stacjonowała II-ga dywizja strzelców polskich, pod dowództwem generała Szamoty. Gdy gen. Dowbor-Muśnicki po-

stanowił skoncentrować cały korpus rozproszony dotąd w różnych miejscowościach Białej-Rusi i Rosji, okazało się to wobec stanowiska coraz bardziej wrogiego bolszewików, już od kilku tygodni dzierżących rządy w swych rękach, bardzo trudnem. Zwłoka w załatwianiu formalności, w możliwości otrzymania pociągów zdawała się przeciągać w nieskończoność. Zaledwo w samym końcu grudnia i początku stycznia możliwym się okazał wyjazd 7-go i 6-go pułków, z kolei miały wyruszać 5-ty i naokońcu 8-my.

Popołudniu 29 stycznia opuszczał dworzec zubcowski drugi, zarazem ostatni eszelon 5-go pułku. W drodze, gdzieś koło Wielkich-Łuk, nadeszła wiadomość o zatrzymaniu przez bolszewików w Połocku pierwszego eszelonu, o ich żądaniu oddania broni za zezwolenie na dalszą podróż, co maskowało tylko chęć rzucenia się na rozbrojonych i złupienia ich ze wszystkiego, tudzież rozproszenia całego pułku. Wobec tej wiadomości, po krótkiej naradzie, oficerowie drugiego eszelonu postanowili po przybyciu do Połocka natychmiast opanować stację kolejową, zdobyć lokomotywy, puścić stojący tam pierwszy eszelon i, gdy

dojdzie do stacji następnej—Farynowa, odjechać za nim.

Zamiar udał się wyśmienicie. Jeszcze przed świtem eszelon wtoczył się przed stację, która w mgnieniu oka została otoczona wraz z napęniającym ją tłumem bolszewickiego żołdactwa, telegraf zajęty, druty poprzecinane, dwie lokomotywy przyprowadzone i, gdy już na dobre świtać poczęło, odjechał pierwszy pociąg, po pół godziny mniej więcej drugi sunął poprzez most żelazny na Dźwinie. Wieczorem 30-go stycznia cały prawie pułk, w bardzo zresztą skromnym składzie, zatrzymał się w pobliżu stacji w Mołodecznie. W ciemności błyszczały światła latarni, parę razy ozwał się dzwonek stacyjny, ponieważ bolszewicy nie okazywali sprzeciwu, pociągi stanęły niedaleko dworca. Stan liczebny w czasie drogi znacznie się uszczuplił, wielu żołnierzy porzuciło swój pułk, nawet z obsługi kasyna oficerskiego nie został ani jeden.

Zrana pojawili się agitatorzy bolszewicy, nakłaniając żołnierzy polskich przedewszystkiem do oddania broni. Namowy „towarzyszy” jednak nie znajdowały posłuchu, a gdy lokomotyw i w Mołodecznie nie dawano, wzięte zostały siłą. Już późnym rankiem ruszyły w dalszą drogę eszelony z przerzedzonym żołnierzem, bo oto do zbiegostwa przyłączyła się w samem już Mołodecznie występna agitacja podkapitana Borowika, co całą swą kompanję zbuntował i zatrzymał na dworcu. Gdy drugi eszelon, idąc o dziesięć minut za pierwszym, zbliżał się ku pierwszej stacji za Mołodecznem w kierunku Mińska—Uszy, ujrzało tor zatarasowany szeregiem wagonów, których część spadła z nasypu, a lokomotywa leżała werżnięta w zie-

mię. W tej chwili po parowozie zadudniły kule, zaterkotały karabiny maszynowe, z trzech stron posypały się strzały. Szosą mknął od Mołodeczna samochód opancerzony. Przy pierwszym transporcie zdawała się panować cisza i pustka. Na ziemi zamarzłej leżał nawznak d-ca pułk. Maciejewski, ciężko ranny, dalej—z okrwawioną po łokieć ręką chor. Kulczyński; wykrzywiony straszną męką przedśmiertną, na zboczu toru kolejowego zastygł jakiś żołnierz. Walka szła nierówna, wśród nielicznego żołnierza zaledwo kilku może ruszyło do boju, oficerów było zbyt niewielu. Wtem od Mołodeczna nadbiegł pociąg pancerny i, zasypując ogniem karabinów maszynowych transporty polskie, pociągnął drugi eszelon z powrotem, dziurawiąc wagony, raniąc i kładąc trupem. W taki sposób zginął chorąży Tańkowski, którego pogrzebali zaci ni kolejarze miejscowi. W innem miejscu w walce z przeważającymi napastnikami poległ ppor. Zdzisław Zabłocki, syn znanego działacza i patrioty Gustawa Zabłockiego. Ze wszech stron sunęło żołdactwo bolszewickie po łupy, pułk piąty został rozbity, oficerowie przeważnie po dostaniu się do niewoli więzieni w Kraśnem, potem w Mińsku i wreszcie w Moskwie; szeregowych, również jak urzędników wojskowych i lekarza bolszewicy już z Kraśnego, jako zdemobilizowanych, zwolnili z więzienia i służby.

Pułk 5-ty nie odrodził się w pełni, uformowany bowiem z tych, co przedtem dostali się do Bobrujska, lub co szczęśliwie zbiegli ze szponów bolszewickich, liczył za okupacji niemieckiej aż do zdemobilizowania korpusu, zaledwo dwie niekompletne kompanje.

WIĄZANKA WSPOMNIENI Z PRACY DUSZPASTERSKIEJ W WOJSKU POLSKIM

Przy końcu czerwca 1919 roku, wysłany przez partyzanckie oddziały t. z. armii zielonej, przekradłem się przez front w okolicy Widad Polski w celu powiadomienia dowództwa wojsk polskich o wybuchu powstania na tyłach armii bolszewickiej w powiecie dziśnieńskim i namówienia ich do rozpoczęcia ofensywy. Zdawało się nam bowiem, że wojska polskie dlatego tylko zatrzymały się w swoim pochodzie na powiat dziśnieński, że przeceniają siły wroga. Stąd obowiązek dostarczenia wojsku polskiemu dokładnych informacji o sytuacji na froncie bolszewickim narzucał się nam z nieprzepartą siłą. Wyjeżdżając, oświadczyłem oddziałom zielonym, że zrobię wszystko, co będzie w mej mocy, ale wracać nie mam zamiaru, ni celu.

Po przejściu frontu udałem się natychmiast do dowódcy kompanii, która stała w Święcianach, dowódca kompanii skierował mnie do dowództwa dywizji, dowódca dywizji—do dowódcy armii w Wilnie, a ten ostatni—do sztabu generalnego w Warszawie. Dopiero tutaj, po wysłuchaniu mego referatu, wytłumaczono mi, jak dalece się myłę, spodziewając się, że wiadomość o po-

wstaniu na tyłach bolszewickich może cokolwiek wpłynąć na ruchy wojska polskiego. „Zagranica, — tak brzmiała odpowiedź szefa oddziału wywiadowczego, — z którą musimy się liczyć, nakazała nam wstrzymać ofensywę do chwili wyjaśnienia niektórych kwestyj”.

Misja moja była skończona. Powstańcy swoją odwagę i nadzieję, pokładaną w pomoc wojska polskiego, musieli drogo opłacić. Długo się trzymać nie mogli, zostali schwytani i rozstrzelani. Ks. Buklarewicz, proboszcz w Ikaźni, który zagrzewał powstańców do walki, padł również ofiarą. Został osądzony i razem z siostrą, która go nie opuszczała, — rozstrzelany.

Po tej nieudanej misji wstąpiłem do wojska polskiego i otrzymałem przydział do Baranowicz, do szpitala zapasowego L. 2.

Jadąc na front, czułem w duszy zapal, jakiego nigdy może w życiu nie doznawałem, i przeświadczenie o wielkości swego zadania. Rozumiałem dobrze, że teraz albo nigdy muszą się spełnić wszystkie nadzieje, wszystkie czarowne sny o Polsce.

Z doświadczeń w Rosji wiedziałem, jaki wpływ na losy wojny wywiera

takie lub inne słowo, rzucone do duszy żołnierza, czem jest zanik lub rozbudzenie uczucia religijnego, miłości do kraju oraz świadomość moralnej odpowiedzialności, i dlatego obecność moją w wojsku uważałem za nie mniej pożyteczną, niż tego, który szedł z bronią w ręce.

Baranowicze przedstawiały widok nad wyraz smutny pod każdym względem. Trzy szpitale wojskowe, czołówka, dwa szpitale dla uchodźców, sztab 1-ej dywizji Litewsko-Białoruskiej — i w mieście żadnego księdza. Połowa domów bez okien i drzwi, okolica zorana okopami niemieckimi i rosyjskimi, zawalona drutem kolczastym, ludność ze spalonych wiosek, ukrywająca się w okopach, mająca za posiłek trawę i puchnącą z głodu — oto drugi charakterystyczny rys tej smutnej panoramy. Szpitale dla uchodźców przypominały obrazy z piekła dantejskiego. Transporty, przybywające z Rosji, wyrzucały na stacji setki i nawet tysiące osób obojga płci, niezdolnych z wyczerpania i głodu utrzymać się na nogach, brudnych, odzianych w łachmany i w dodatku chorych na rozmaite choroby zakaźne: ospę, tyfus plamisty, brzuszny, powrotny, czerwone i t. d. Szpital, lichy zaopatrzony w służbę sanitarną, w środki lecznicze i żywność, nie mógł tym nieszczęśliwym pośpieszyć z pomocą. Chorzy leżeli gęsto jeden przy drugim na ziemi, mając za podścielisko wióry lub słomę, a często gołą podłogę. Znaczna ich część leżała przed szpitalem na ziemi. Dokoła rozlegały się jęki, szlochy, wołania, płacz dzieci przy boku nieprzytomnej lub umierającej matki. Lekarze zmieniali się często: nikt bowiem nie chciał w takich warunkach pracować. Sanitarjuszki padały ze znużenia: za mało ich by-

ło, aby wszystkim dostarczyć napoju i rozdać skromny posiłek. O kąpielach, zmianie bielizny, łózkach marzyć nie było można. Zresztą, dla wielu pomoc już była spóźniona.

Trupiarnia zapełniała się po brzegi. Liczba ofiar dochodziła nieraz do 40 osób dziennie. Pod koniec sierpnia sytuacja się polepszyła. Transporty uchodźców ustały, a przybyła do Baranowicz amerykańska misja Czerwonego Krzyża zaopatrzyła szpital w najniezbędniejsze rzeczy i umożliwiła mniej więcej normalne jego funkcjonowanie. Warunki w szpitalach wojskowych były bez porównania lepsze, jednakże, szczególnie w szpitalu epidemicznym, zdobycze śmierci były bardzo poważne.

W takich beznadziejnych warunkach rozpocząłem pracę duszpasterską w W. P. Wędrowka od szpitala do szpitala i od łóżka do łóżka pochłaniała mi większą część doby, dzień w dzień.

Troska o zaopatrzenie każdego umierającego w Sakramenta św. wymagała wielkiego nakładu pracy i stosowania rozmaitych metod, aby przezwyciężyć dość często spotykaną w umierającym apatię do wszystkiego. Czasu do stracenia nie było dużo, a jednak najczęściej potrzeba było poświęcać go na wysłuchiwanie bezowocnych skarg, narzekań, na rozmowy, mające na celu pocieszenie, podniesienie na duchu chorego i zainteresowanie się jego losem. Każdy miał dużo do powiedzenia i polecenia. Każdy miał swoją historję i tragedję, które potrzeba było wysłuchać, aby zdobyć jego zaufanie. Każdy chciał spowiedź odłożyć do jutra, nie przewidując, że jutra tego może się nie doczeka. Silniejsze naleganie wprowadzało go w niepokój, że stan jego już jest beznadziejny. Gdzie wygląd

chorego pozwalał na zwłokę, nie nalegałem. Gorzej było w wypadkach, gdy chory gonił resztkami sił. Powoli nabrałem wielkiej wprawy w stawianiu diagnozy. Z rozszerzonych źrenic, ciężkiego oddechu, koloru twarzy i t. d. określałem dość dokładnie bliski chorego koniec. Inni chorzy, widząc, jak ten lub ów zaopatrzony w sakramenta św. na drugi dzień umierał, zaczęli wierzyć w moją nieomyślność pod tym względem. Przypominam sobie, jakie przerażenie zapanowało w gronie studentów krakowskich, przybyłych z frontu, chorych na czerwonkę, z których codziennie jeden umierał. Przy każdej mojej wizycie, jak potem mi wyznali, oczekiwali wyroku śmierci dla kogokolwiek ze swego grona. „Kapelan jeszcze nie kazał mi się spowiadać, a więc jeszcze żyję” — pocieszał siebie niejeden po moim odejściu. Natomiast, można sobie wyobrazić, jakie przerażenie ogarniało takiego biedaka, do którego kapelan rzeczywiście się zwracał z tą złowrogą propozycją. Odpowiedzią na nią nierzadko był wybuch płaczu.

Jednak niezawsze wizyta kapelana była przynębiającym zjawiskiem. Chorym na czerwonkę zalecano wino. Na taki luksusowy wydatek szpital nie miał środków. Wówczas za skromną moją gażę nabywałem w kooperatywie K. O. K. kilkanaście butelek i zjawiałem się do szpitala — zamiast ze stulą — z butelkami. Trudno opisać radość, jaka ogarniała chorych. Ze wszystkich stron wyciągały się ku mnie ręce z metalowymi kubkami. Kto mógł, zrywał się z łóżka. Niestety, każdy otrzymywał za ledwie kilka kropel, które na proces wyzdrowienia nie wywierały żadnego wpływu, jednak nastrój chorych podnosił się ogromnie, i kapelan

w ich oczach nabierał większego znaczenia.

Niemniej spragnieni byli lektury, niestety, książek nie było żadnych, a gazety przychodziły rzadko, nieregularnie i w bardzo małej ilości. Przekonałem się, że praca duszpasterska wielce zyskiwała na tem, jeżeli kapelan, oprócz stuley, przynosił papierosy, gazety, książki lub wino.

Uzupełnieniem pracy w szpitalu było grzebanie. Kurja biskupia W. P. nakazywała prowadzenie księgi metrycznej, ewidencji grobów, utrzymywania w porządku cmentarzy; obowiązki te spadały wyłącznie na kapelana, który nie rozporządzał ani ludźmi, ani materiałem. Potrzeba było najpierw obrać miejsce na cmentarzu, położonym od szpitala o 3 kilometry, ekshumować dotychczas byle gdzie grzebanych i przenieść ich na cmentarz, ponumerować groby, zaopatrzyć je w napisy i t. d. Dowództwo szpitala odsyłało mnie do komendy miasta, komenda miasta zaś słaniała się również brakiem ludzi i środków. Kończyło się często na tem, że komenda wydawała nakaz obywatelom, a dla braku obywateli, obywatelkom miasta w celu podjęcia trudu dla oddania ostatniej posługi żołnierzowi polskiemu. Otrzymywałem kilka kobiet, z którymi udawałem się na cmentarz do kopania dołów. Praca niewieścia w tych warunkach była bardzo mało wydajna. Musiałem sam stawać do roboty dla dwóch względów: aby przyspieszyć robotę i aby podkreślić równość wszystkich obywateli wobec krytycznego położenia państwa. Skutek był natychmiastowy. Niewiasty rozpogadzały miny i czuły się mniej upośledzone, niż na początku. Praca jednak szła ciężko i bardzo powoli. Kopanie dołów, rozpoczęte w Baranowiczach, stało się

mym udziałem niemal przez całą wojnę. Musiałem do niej powracać w Mińsku, Brześciu i Łukowie. Przekonałem się, że żołnierze, zarówno jak i niewiasty, niechętnie się brali do tego. Uważali oni, że to jest obowiązek cywilów, i zaczęli szemrać. Dopiero widok kapelana przy pracy zamykał im usta.

Na pracę dla wojska poza szpitalem pozostawało mi mało czasu. Jedyną okazją do podniesienia ducha żołnierzy było przemówienie podczas mszy polowej w niedzielę. Niedziela i święto stawiały mi wielkie wymagania: mszy św. pozbawione były załoga szpitalna i ludność cywilna. Aby przyjść im z pomocą, musiałem odprawić jeszcze dwie msze: jedną w szpitalu, drugą w miejscowym kościółku. Do pracy duszpasterskiej dowództwo nie przywiązywało wielkiego znaczenia. Nie wierzono, aby kapelan zdołał podnieść stan moralny żołnierza, gdyż masy żołnierskie na najgorętsze słowa były mało wrażliwe. Życie zaś obozowe w ciężkich warunkach materialnych, zetknięcie się z jednostkami zdemoralizowanymi podczas wojny światowej, obecność wszędzie wielkiej liczby upadłych kobiet, często-kroć zły przykład oficerów lub sióstr miłosierdzia i t. d. demoralizowały najbardziej niewinnych chłopaków, którzy się dostali do wojska. Do uszu moich dochodziły skargi miejscowej ludności na rabunki, dokonywane przez żołnierzy, na krzywdy, wyrządzane mieszkańcom, na rozpusty, uprawiane po nocach i t. d. Zaradzić temu nie mogła nawet surowa dyscyplina wojskowa, a cóż dopiero kapelan. To, że ktoś umrze bez sakramentów, było w oczach dowódców szpitali rzeczą małej wagi. Taki pogląd szeroko był rozpowszechniony w W. P. Dlatego też z opinią kapela-

na liczone się mało. Niektórzy kapelani protestowali przeciwko takiemu sposobowi traktowania, lecz bezskutecznie. Potrzeba było z tem się pogodzić i w miarę sił robić co było możliwe.

Mimo takiego nastroju, spotkało mnie jednak w krótkim czasie uznanie najpierw ze strony dowódcy szpitala, doktora kapitana Kohna, który za wydobycie przeze mnie z wody topielca przedstawił mnie do pochwały w rozkazie dowództwa 1 L. B. dywizji, a potem—ze strony samego dowódcy generała A. Mokrzeckiego. Dr. Kohn wyróżniał się z pośród wielu innych komendantów wyznania mojżeszowego: sam gorliwie pracował, oceniał dodatni wpływ mej pracy i kiedy na kilka dni wyjechałem do Słucka w celu zwiedzenia garnizonu, depeszował, abym natychmiast wracał. Od dziekana frontu ks. J. Sienkiewicza i biskupa polowego, który w tym czasie przyjeżdżał z wizytą pasterską, otrzymałem również słowa uznania. Gdy wojska nasze posunęły się naprzód i zajęły Mińsk, — w Baranowiczach zabrakło pracy, dlatego też w październiku otrzymałem przydział do Mińska.

II.

Garnizon miński przedstawiał szerokie pole do pracy, posiadał bowiem 4 szpitale wojskowe: epidemiczny, chirurgiczny, weneryczny i wielkopolski, stację zborną, więzienie wojskowe oraz liczną załogę. Później przybyły jeszcze dwa szpitale: szpital Czerwonego Krzyża i polowy L. 103. Zwiedzenie szpitali z powodu braku lokomocji stało się rzeczą wprost niemożliwą, gdyż odległość między nimi wynosiła od 4 do 5 kilometrów. Szpital epidemiczny, mieszczący się w gmachu daw-

nego szpitala kolejowego, położony za miastem, był w ciężkich warunkach: piece i kanalizacja częściowo zrujnowane, w oknach brakło szyb, a na dworze była już słotna jesień. Chorzy leżeli pod cieniuśkimi kocami i drżeli z zimna. Śmiertelność zaczęła się zwiększać. Dr. Kohn alarmował dowództwo miasta i posyłał raporty do odnośnych władz, ale pomoc nie nadchodziła.

Aby zaoszczędzić doktorowi fatygi i czasu, wziąłem na siebie obowiązek alarmowania dowództwa miasta i przez ciągłe naleganie dokuczyłem mu tak, że mnie dowcipnie nazwano komendantem szpitala.

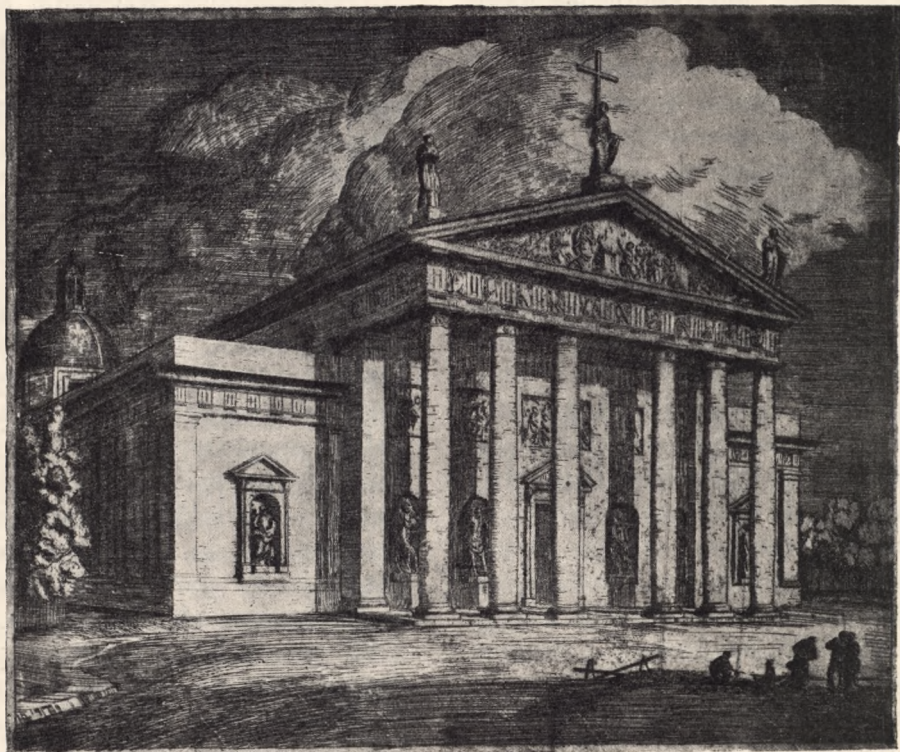
W raportach do dziekana frontu ks. Sienkiewicza przedstawiałem rozpaczliwy stan duszpasterstwa w garnizonie Mińskim i domagałem się przysłania przynajmniej jeszcze jednego kapelana. Niestety, dziekan nie miał w zapasie nikogo, a brak kapelana dawał się dotkliwie odczuwać.

Nadeszła wczesna i sroga zima. Mrozy i wichry zaczęły bez litości dzieciątkować marnie ubrane i źle odżywiane szeregi wojska naszego, stojące nad Berezyną.

Czołówki przywoziły olbrzymią ilość chorych na zapalenie płuc, hiszpankę, tyfus plamisty albo mających odmrożone ręce lub nogi. W szpitalach brakło miejsca. Chorzy musieli po kilka dni pozostawać na stacji zbornej w warunkach bardzo nieodpowiednich. Niektórzy umierali, zanim dostali się do szpitala. Obecność kapelana była również niezbędna. Jednakże przykre to były odwiedziny. Chorzy, korzystając z obecności kapelana, wypowiadali wszystko, co mieli na sercu, a mieli bardzo wiele goryczy, żalu, bólu, które wylewali z sarkazmem i łzami. „Po-

co nas było z frontu zabierać, w rowie człekby prędzej skończył”. Wobec takiego rozgoryczenia trudno było rozpocząć z nimi rozmowę o spowiedzi. Walk na froncie nie było, a jednak nie przypominam sobie, aby szpitale kiedykolwiek były tak przepełnione, jak podczas tej pamiętnej zimy z roku 1919 na 1920.

Nalegania o przysłanie pomocnika nareszcie odniosły skutek: do szpitala epidemicznego i na stację zborną przydzielony został ks. Bogucki, zastąpiony wkrótce przez ks. Białego, do szpitala chirurgicznego — ks. Skokowski. Dowództwo frontu zwróciło nareszcie uwagę na smutny stan szpitali w Mińsku. Do D. O. E. Mińsk został przydzielony szef sanitarny major Panieński, który od stycznia do czerwca potrafił sprawność szpitali podnieść do bardzo wysokiego stopnia. Załoga miasta wymagała również opieki. Nic tak ujemnie nie wpływa na żołnierza, jak postój w większym mieście. Uważano to za rzecz zupełnie zrozumiałą, jeżeli wirusy po nudach w polu, dostawszy się do miasta, zaczęli sobie pozwalać. Dowódca 20 p. p. skarżył się, że po tygodniu postoju w Mińsku aż 3 żołnierzy musiał odesłać do szpitala wenerycznego. „Jeżeli tu dłużej pobędę, to nie wiem, czy mi zostanie choć jeden z tych moich dzielnych w polu żołnierzy, czekam chwili, aby czempredziej wyjść z tego bagna”. Podejrzane kobiety zaczęły się stroić. Żydówki miały również wielkie powodzenie. Defenzywa nie bez podstawy podejrzewała, że w tych uwijających się koło żołnierzy niewiastach ukrywać się może niejeden szpieg, jednak nie miała możliwości rozpocząć z nimi walkę. Pewnego razu do kilku oficerów odezwałem się temi sło-



JERZY HOPPEN
ppor. rez.

WILNO. KATEDRA
(akwaforta)



JERZY HOPPEN
ppor. rez.

WILNO. POHULANKA Z PRZED 100 LATY
(akwaforta)

wy: „Cóż z tego, że obcinacie Żydom brody, jeżeli Żydówki całujecie i przywozicie je z sobą do okopów”. Sądziłem, że wywołam protest, tymczasem odpowiedzią była nie mniej dowcipna, niż smutna: „Szkoda, księżu kapelanie, używać naszych Polek do takich celów”.

Rozpusta pociągała za sobą inny grzech — defraudację. Więzienie zaczęło się zapelniać, sądy wojskowe nie mogły nadążyć w przeprowadzaniu procesów. Ilość zaległych spraw zwiększała się coraz bardziej. Aresztowani czekali na proces po kilka miesięcy i demoralizowali się do reszty. Więzienie należało do najniewdzięczniejszych placówek w pracy duszpasterskiej. Przykro było spotykać tam tych, którzy przed kilku dniami zajmowali odpowiedzialne stanowiska i robili wrażenie ludzi solidnych. Niejeden starał się wytłumaczyć, że jest ofiarą nieporozumienia albo intrygi, i chciał użyć kapelana za narzędzie do wyzwolenia się z więzienia. A więc prosili, błagali, zaklinali, aby za nimi się wstawić do szefa sądu wojskowego, bronić, ręczyć za nich i t. d. Szef sądu narazie starał się mnie przekonać, że jestem źle poinformowany, gdyż nie znam całej sprawy, nareszcie przestał ze mną rozmawiać i zakazał wszelkiej interwencji. Wracając z niczem do więzienia, musiałem znowu wysłuchiwać skarg i narzekań na krzywdę, niesprawiedliwość, niewdzięczność za zasługi, położone dla Polski.

Nie wszyscy jednak byli w minowym nastroju, znaczna część przybierała postawę hardą i cyniczną, jako ci, co nie mieli już nic do stracenia. Trudno było przemawiać do sumienia ludzi, którzy z tego kpili.

Jak dalece niewdzięczna była praca

kapelana nad tą kategorią wojskowych, dowodzi następujący obrazek. Jadąc z Mińska do Wilna, wsiałem do wagonu, w którym eskortowano koło 20 aresztowanych wojskowych. Tłok był niemożliwy. Aresztowani zarezerwowali sobie wygodne miejsca i nikogo nie wpuszczali. Wkrótce zapanował bardzo wesoły nastrój, podtrzymywany dowcipami koszarowemi i śpiewem piosnek, których, ze względu na ich treść, nie każde ucho zdolne było wysłuchać. Interpelowany dowódca eskorty oświadczył, że nie ma władzy, aby im nakazać milczenie. Zmuszony byłem sam odwołać się do ich sumienia i poczucia wstydu. Na to mi jeden z nich odpowiedział: „My przecież jesteśmy zaaresztowani, więc nam wszystko jedno, gdyż i tak będziemy w piekle”. Wesoły śmiech jego współtowarzyszy dał aprobatę tej odpowiedzi.

Tego rodzaju tortury moralne nie należały do rzadkości.

Aby dostarczyć żołnierzowi godziwej rozrywki i w ten sposób uchronić go od demoralizujących wpływów wielkiego miasta, koło pań mińskich, z p. Dziekońską i p. Łęską na czele, gorliwie zajęło się sprawą zakładania świetlic, organizowania odczytów, wykładów i kursów. W świetlicach żołnierze mogli znaleźć skromny posiłek, książki, gazety, gry, zabawy. Odczyty i pogadanki mniej interesowały, natomiast do tańców palili się wszyscy. Panie były w kłopotcie, gdyż, wobec wielkiego zapotrzebowania, brakło do tańca niewiast.

Na szeroką skalę zajęło się pracą nad żołnierzem stowarzyszenie amerykańskiej młodzieży chrześcijańskiej t.zw. Y.M.C.A., — sprowadzone do Mińska przez gen. Żeligowskiego. Wspomniane

organizacje, pracując nad podniesieniem kulturalnego i moralnego poziomu wśród wojskowych, oddawały tem samem wielką usługę pracy duszpasterskiej. Kontakt z kapłanem był bardzo ścisły. Otwarcie świątlicy połączone było z uroczystem poświęceniem i przemówieniem kapłana. Żołnierz rozumiał, że jest przedmiotem troski całego społeczeństwa i starał się okazać wdzięczność. Jego zachowanie się w świątlicy było bardzo poprawne.

W kwietniu 1920 r. do Mińska przyjechał sztab 4 armji z generałem Szeptyckim na czele. Dziekan Sienkiewicz wyznaczył kapłanów do wszystkich niemal szpitali, mnie zaś powierzył szefostwo duszpasterstwa przy D. O. E. 4 armji. Wszystko się zapowiadało dobrze. W Mińsku pannał względny ład i porządek. Generał Szeptycki, opromieniony aureolą zwycięzcy, budził powszechny entuzjazm. Niestety, szczęście się odwróciło prędko. Nastąpiła pierwsza, zwycięsko odparta, ofensywa bolszewicka. Po miesiącu — druga, zmuszająca nas do odwrotu aż pod Warszawę. Lecz wróćmy do naszego tematu.

Kiedy się rozpoczęła pierwsza ofensywa, gen. Szeptycki, chcąc ją za wszelką cenę powstrzymać, wysłał na front wszystko, co miał w Mińsku, nie wyłączając ordynansów i szoferów. Szpitale zaczęły chorych pośpiesznie ewakuować. Praca duszpasterska została przerwana. Zaznaczyć tu muszę, że wszelka ożywiona akcja na froncie paraliżuje zupełnie pracę kapłana. O prowadzeniu księgi metrycznej mowy być nie może. O pogrzebach nie myśli nikt. Kapłan nie ma najmniejszej możności zebrać jakiegokolwiek dane o grobach, na słuchanie spowiedzi — brak czasu. Na generalną absolicję dowód-

cy patrzą niechętnie, będąc przekonani, że to ujemnie wpływa na odwagę żołnierza. Kapłan staje się zupełnie zbyteczny.

Tak też było i w Mińsku. Pracę duszpasterską potrzeba było zawiesić i zająć się rozwożeniem do oddziałów tytoniu, który amerykańska misja Czerwonego Krzyża w obawie, że wyewakuować zapasów nie zdąży, chętnie i w wielkiej ilości rozdawała. Trudność polegała tylko na rozdaniu, a raczej przewiezieniu go do oddziałów, gdyż środków lokomocji nie było, a oddziały, przechodzące przez Mińsk, w mieście prawie się nie zatrzymywały. Mimo tych trudności, zdążyłem w przeciągu 2 dni rozdać koło 50 pudów tytoniu.

Wkrótce zaczęły nadchodzić wiadomości i pociągi sanitarne z frontu. W celu zabezpieczenia natychmiastowej pomocy religijnej, zarządziłem na stacji zbornej dyżury kapłanów. Byłem najmocniej przekonany, że pierwsze transporty przywiozą nam najbardziej zmasakrowanych. Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem wychodzących z wagonów zdrowych i dziarskich chłopów. Byli to wenerycy, którzy, jak później mi wytłumaczono, wolą pozostawać w oddziałach, niż w szpitalach, lecz do czasu walki. Przed rozpoczęciem bitwy meldują się natychmiast na punkcie sanitarnym i każą siebie odsyłać do szpitali, rozbijając po drodze bufety na stacjach mniejszych i siejąc postrach dokoła. Prawdziwi bohaterzy, ociekający krwią, zaczęli później przybywać, i dla nich pomoc religijna była istotnie potrzebna.

Ofensywa została odparta, jednak deprymujący niepokój, podtrzymywany przez agitatorów z ukrycia, trwał dalej. Element żydowski, dotychczas względnie spokojny, zaczął się zachowywać

wyzywająco, prowokując w ten sposób żołnierzy do ekscesów. Nadomiar złego zaczęły się pod koniec czerwca pożary, które trwały aż do chwili naszego odwrotu z Mińska. Ręka wroga w tem była bardzo widoczna, jednak ludność miejscowa odpowiedzialność za nie zrzucała na wojsko Polskie. Jednocześnie zaczęła się druga ofensywa; potem ewakuacja i odwrót. Mińsk stał się widownią najstraszniejszych scen. Dokoła rozlegał się płacz mieszkańców, którzy musieli wszystko opuszczać i tylko z życiem uchodzić. Stacja została zawałona rzeczami i wypełniona przez tłoczącą się publiczność po brzegi. Brakło wagonów i lokomotyw. Wiadomość o zdemontowaniu kilku lokomotyw przez kolejarzy spotęgowała panikę. W sam dzień naszego odjazdu miasto płonęło w kilkunastu punktach, roztaczając nad sobą gęste chmury czarnego dymu.

Ludność, wypłoszona pożarem ze swych małych drewnianych domków w okolicy stacji, nie będąc w możliwości wyratować swego ubożego mienia, załamywała ręce i, rzucając najstraszniejsze słowa przekleństwa, wołała o pomstę do nieba. Widok najbardziej otwartych ran nie krwawił tak mocno serca, jak widok tej ubogiej, nieszczęśliwej ludności, widok wynędzniałych z głodu matek, wynoszących na rękach swe dzieci. Ogień dostał się na stację zborną i zniszczył ogromną część przygotowanych do ewakuacji rzeczy. Wkrótce olbrzymie składy 4 armii stały również w ogniu. Komendant amerykańskiej misji Czerwonego Krzyża, nie mogąc wywieść 40 naładowanych wagonów, kazał je podpalić. W mieście sprowokowani żołnierze dopuszczali się ekscesów.

W strasznej i beznadziejnej chwili

na ulicach miasta pokazał się Biskup Mińska. Wyszedł, aby odjeżdżającym udzielić błogosławieństwa, pozostającym wlać otuchę do serca, a ze wszystkimi dzielić boleść i beznadziejny smutek. Trudno opisać wzruszenie, jakie ogarnęło mieszkańców na widok pasterza, który będąc świadomy co go czeka, zostawał jednak na swym posterunku chyba poto, aby odpowiedzieć za wszystko, co tu się działo.

Transport, którym wyruszyło DOE, miał przed sobą w krótkich odstępach mocno naładowane i wlekące się powoli dwa inne. Lokomotywy były nieproporcjonalnie słabe w stosunku do ilości doczepionych do nich wagonów. Katastrofa była nieunikniona. Jakoż istotnie, po kilku godzinach jazdy, dwa poprzednie eszalony zetknęły się ze sobą, wywracając i druzgocąc kilka wagonów z pasażerami. Katastrofa wstrzymała nas na 4 lub 5 godzin. Ofiary były liczne. Jedyną chyba pociechą dla tych nieszczęśliwych była moja i kilku księży obecność, gdyż dzięki tej szczęśliwej okoliczności mogli się wypowiedać i przyjąć ostatnie oleje. Pomoc ta dla niektórych przyszła rychło w czas, ponieważ wkrótce umarli. W dalszym ciągu odwrotu przez Baranowicze, Brześć Lit., Łuków, Siedlce i Dęblin, praca duszpasterska ograniczała się do dyżurów na stacjach, przez które przechodziły bez przerwy pociągi sanitarne. Pociągi te zawierały nieraz po 800 wojskowych rannych i chorych przeważnie na czerwonkę. Liczba dogorywających była tak wielka, że trudno było nawet w pośpiechu zaopatrzyć wszystkich w sakramenta św., zanim pociąg wyruszy ze stacji. Umarłych zostawiano na stacji, a sprawa pogrzebu spoczywała wyłącznie na odpowiedzialno-

ści kapelana, który nie rozporządzał niczem i przeważnie sam musiał doły kopać.

W Brześciu jeszcze funkcjonowały szpitale, ale w przewidywaniu bardzo prędkiego odwrotu miały cały inwentarz spakowany, skazując w ten sposób chorych na bardzo ciężkie warunki. Chorzy, oczywiście, tego nie rozumieli i całą odpowiedzialność składali na komendantów wyznania mojżeszowego, których podejrzewali o złą wolę. Zwiedzając jeden ze szpitali w Brześciu, byłem świadkiem bardzo charakterystycznej sceny: chory wstaje z łóżka i kieruje się ku drzwiom. Zatrzymany przez siostrę, odpowiada spokojnie i lakonicznie: „Zamorduję tylko komendanta i wrócę”. Takich rezolutnych było, na szczęście, mało. Większość leżała spokojnie i cierpliwie, nie reagując na insekty, które po nich pełzały, jak mrowie. Jakiś Poznańczyk zatrzymał mię i pod sekretem zapytał, jak się przedstawia sprawa na froncie. Gdy mu odrzekłem, że wszystko się cofa i lada chwila Brześć będzie oddany, zaczął szlochać, jak dziecko, mówiąc: „A myśmy tyle tam krwi naszej przeleli i wszystko poszło na marne”. Pocieszałem go, jak mogłem, jednak czułem, że jestem bezsilny wobec tej ogólnej rozpaczy.

W Radomiu otrzymaliśmy rozkaz zlikwidowania D. O. E. Na mocy tego rozkazu zostałem przydzielony do 9 dyw. p. w charakterze proboszcza. W poszukiwaniu wspomnianej dywizji wyruszyłem z powrotem do Dębina i byłem świadkiem imponującego przemarszu wojska, które szło za Wisłę na wyznaczone sobie pozycje. Czułem, że jesteśmy w przededniu decydujących bojów pod Warszawą, jed-

nak los nie pozwolił mi wziąć w nich udziału. Sierpień spędziłem w szpitalu Ujazdowskim obłożnie chory na czerwonkę. Gdy wstałem z łóżka, ścigany wróg był już daleko.

III.

W 9 dywizji pracowałem zaledwie 4 miesiące: od września do stycznia 1921 r. Do chwili zawieszenia broni dywizja była w ciągłym przemarszu; walk w tym czasie prawie nie było. Duszpasterstwo stało na martwym punkcie. Stosunek oficerów był bardzo dziwny: nikt nie uważał za właściwe krępować się obecnością kapelana, który musiał wysłuchiwać wyrażenia i dowcipy, wcale nie licujące z godnością munduru oficerskiego. Spróbowałem zwrócić na to uwagę, jednak bez żadnego skutku. Wówczas zdobyłem się na odwagę i pewnego dnia na odprawie oficerskiej zaprotestowałem energicznie przeciwko niekulturalnemu i niemoralnemu sposobowi wyrażania się oficerów, podkreślając jednocześnie, że, jeżeli protest mój nie odniesie pożądanego skutku, obecność moją w wojsku uważać będę za zbyteczną. Oficerowie, którzy się poczuwali do winy, byli tem bardzo dotknięci i zareagowali w sposób wysoce nieodpowiedni. Wówczas stanąłem do raportu u szefa sztabu i domagałem się satysfakcji. Satysfakcję otrzymałem — ale w duszach oficerów zaszczerpiłem niechęć do siebie i, co za tem idzie, do całej mej pracy. Ciężył mi ten stosunek tem bardziej, że dowódca 9 dyw., pułk. Trojanowski, człowiek prawy, czystych obyczajów, dobrze wychowany, również niechętnem okiem spoglądał na mnie. Nie podobaly mu się te raporty i skargi, jakie mu składałem na nadużycia, eksce-

sy, rozpustę, rozluźnienie obyczajów i t. d. Pewnego razu w rozmowie dał mi do zrozumienia, że w wojsku potrzeba wiele rzeczy tolerować i w pracy posługiwać się metodą łagodnego oddziaływania. Charakterystyczna rzecz: pułkownik Trojanowski, gdy przyłapywał kogokolwiek na gorącym uczynku, unosił się gniewem i sprawiedliwą wymierzał karę. Pewnego razu koło Iwia spotkał żołnierza, pędzącego konia i idącego za nim wieśniaka. Wieśniak, widząc pułkownika, upadł na kolana i złożył ręce jak do modlitwy. Pułkownik się zatrzymał, wysłuchał skargę, kazał zwrócić konia wieśniakowi, a żołnierza ukarać. Wydał też rozporządzenie, zabraniające podczas obiadu używania słów niemoralnych lub dowcipów dwuznacznych, widocznie w tym celu, aby umożliwić obecność kapelana na obiedzie.

Wkrótce się jednak przekonałem, że najlepsza wola dowódcy dywizji jeszcze nie wystarcza, aby położyć kres temu rozpasaniu w mowie, jakie częstokroć cechuje oficera i żołnierza polskiego. Na polowanie do puszczy Rudnickiej przyjechał w licznym gronie oficerów dowódca 2 armji gen. R. Ś. Gdy po odbytem polowaniu myśliwi zebrali się na wieczerzę — niektórzy oficerowie ze sztabu 2 armji, po zaspokojeniu głodu, zaczęli się popisywać deklamacjami. Deklamowano wiersze, które cenzura dla względów przyzwoitości zwykła zawsze konfiskować. Od głośnego śmiechu 60 ludzi drżały szyby w oknach. Czekałem, jak na to zareaguje generał. Ten jednak słuchał i podzielał ogólny nastrój wesołości. Nie pozostawało nic innego, jak wstać i poprosić generała o pozwolenie opuszczenia sali. Generał łaskawie pozwolił.

Teraz stało się dla mnie jasnem, że walka przeciwko nadużywaniu swobody języka była równie bezcelowa, jak i niewdzięczna. Odtąd przestałem się zajmować korpusem oficerskim, a całą uwagę zwróciłem na żołnierzy.

Pole do pracy było bardzo szerokie. Potrzeba było objechać rozlokowane po rozmaitych wioskach oddziały, wygłaszać jedną lub dwie pogadanki, zachęcać do spowiedzi, odprawiać nabożeństwa, zwiedzać wchodzące w skład 9 dywizji pułki i t. d.

Praca dostarczała dużo wewnętrznego zadowolenia, gdyż żołnierz polski naogół przyjmował wszystko z wdzięcznością; przychodził na nabożeństwo i odbywał spowiedź. Podkreślić tu muszę wielkie przywiązanie żołnierza do książki i słowa drukowanego. Jeżeli mogłem rozdać kilka książeczek do nabożeństwa, broszurek, gazet lub czasopism, ogarniała ich wielka radość. Przeglądali rozdane druki z nadzwyczajnem zaciekawieniem. Kto umiał przynajmniej sylabizować, ten czytał, inni uważnie słuchali. Niestety, literatury popularnej, dostosowanej do psychiki żołnierza, było bardzo mało. Ilość przysyłanych egzemplarzy była tak nikła, że o jakimkolwiek zaopatrzeniu wojska w lekturę nie mogło być mowy. W październiku 1920 r. Kurja Biskupia W.P., chcąc zapęłnić tę lukę, zaczęła wydawać pod redakcją ks. prof. C. Falkowskiego tygodnik ilustrowany, poświęcony żołnierzowi, p. t. „Rycerz Polski”. Pismo to, ładnie wydawane i dobrze redagowane, zawierało obfity materiał, dostosowany do ducha i potrzeb żołnierza. Niestety, kolportaż „Rycerza” w poszczególnych oddziałach był słabo zorganizowany, chociaż pismo wychodziło regularnie, otrzymywaliśmy je

późno i w bardzo małej ilości egzemplarzy. W maju 1921 r., widocznie dla braku środków, pożyteczne to pismo zostało zawieszone.

W tym czasie zostałem powołany rozkazem Kurji Biskupiej W. P. na dziekana 4 armji.

IV.

Wspominając pracę duszpasterską w 4 armji, nie mogę pominąć milczeniem osoby gen. L. Skierskiego, który podówczas tą armją dowodził. Był to człowiek, którego wśród wojskowych należy zaliczyć do wielkich rzadkości. Charakter miał cichy, spokojny, łagodność gołębią, serce czułe, wrażliwe na wszelką niedolę. Te cechy moralne jego charakteru szły w parze z głęboką inteligencją i jeszcze głębszą religijnością. Z przekonania był gruntownym chrześcijaninem, z usposobienia — mistykiem. Chociaż należał do wyznania kalwińskiego, z praktyki jednak był katolikiem. Przychodził na wszystkie nabożeństwa i modlił się bardzo gorliwie. Szczególnie mu odpowiadały nabożeństwa wielkotygodniowe. W Wielki Piątek nic nie brał do ust. Był wielkim zwolennikiem kultu Matki Boskiej, a obrazek św. Leonarda, swego Patrona, nosił stale przy sobie. Opowiadał mi ciekawą historję owego obrazka: gdy podczas wojny światowej siedział w okopach rosyjskich, pocisk, rzucony przez Austriaków, trafił w ich własne okopy, rozerwał się i, wyrzucając olbrzymie masy ziemi, zasypał nią okopy rosyjskie. Wśród tych zasypanych i pokaleczonych był również gen. Skierski. Kiedy się wydobył z pod ziemi, przekonał się, że jest zdrow i nienaruszony i spostrzegł na piersiach ów obrazek, wi-

docznie wyrzucony z książki do nabożeństwa, będącej w okopach austriackich. Łatwo się domysleć, jakie wrażenie fakt ten wywarł na człowieku mistycznie usposobionym. Do kapelana odnosił się z wielkim szacunkiem. Szczególnie zaś lubił mego adjutanta i ucznia ks. Ant. Aleksandrowicza za jego zapał i niezmordowaną pracę.—Wojskowi, ceniąc zalety swego generała, odnosili się doń z wielkim szacunkiem, chociaż pocichu pozwalali sobie na żarty, mówiąc, że się rozminął z powołaniem, że mitra i pastorał więcejby pasowały mu do twarzy, niż rewolwer przy boku. Był jednak powszechnie lubiany. Wojny nie lubił, uważał ją za niezgodną z duchem ewangelji, jednak z obowiązków dowódcy wywiązywał się doskonale i był odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. Wyróżniał się skromnem mniemaniem o sobie. Kiedy przy pożegnalnej uczcie oficerowie zaczęli wygłaszać na jego cześć panegiryki, spróbował zaprotestować. Całą zasługę przypisywał sztabowi, a szczególnie jego szefowi, pułk. Rybakowi, mówiąc, że sztab — to wóz, na którym cały czas jechał. Oficerowie jednak nie dali się przekonać. Kiedy po skończonej mowie wsiadał do powozu, okazało się, że konie wyprężono, a powóz ciągną i pchają oficerowie. Tak go dowieziono do mieszkania. Wsiadając gen. Skierski zwrócił się do oficerów z temi słowy: „No, czyż nie miałem racji, mówiąc, że sztab to — wóz, na którym cały czas jechałem”.

Łatwo się domysleć, że przy boku takiego dowódcy praca duszpasterska szła łatwo i pomyślnie. Generał Skierski przy każdej okazji wygłaszał do oficerów formalne kazania o Bogu, o Chrystusie, o potrzebie modlitwy, a

przedewszystkiem o obowiązkach moralnych i potrzebie dawania dobrego przykładu. Po takich przemówieniach dziekan nie miał już nic do powiedzenia.

Moralny wpływ gen. Skierskiego na oficerów był wielki. Liczono się z nim. Aby nie zrobić generałowi przykrości, niejeden musiał zrezygnować ze swoich upodobań i przyzwyczajeń. Nie słyhać było o rozpuszcie, pijaństwie, braku uszanowania do kobiet, rozwiązłości w mowie. Poczucie wstydu stało dość wysoko.

Praca duszpasterska w 4 armji nosiła przeważnie charakter organizacyjny.

Dnia 2 maja 1921 r. wydany był rozkaz likwidacji 4 armji. Na mocy tego rozkazu dziekan przeszedł do dyspozycji Kurji Biskupiej W. P.

V.

Po likwidacji 4 armji, aż do chwili zdemobilizowania, które nastąpiło dn. 17 września 1921 r., pełniłem obo-

wiązki kapelana garnizonu w Zegrzu. Mjr. Z. Nosowicz, dowódca garnizonu, i mjr. S. Rymszewicz, dowódca szkoły podoficerów, okazali mi dużo życzliwości i serca. Wkrótce nawiązały się najserdeczniejsze stosunki między kapelanem i całym garnizonem. Wspomniani dowódcy, którzy ogromnie dbali o wysoki poziom moralny podwładnych im żołnierzy, robili wszelkie ułatwienia kapelanowi w jego pracy. Wygłosiłem szereg wykładów i konferencji, szereg przemówień podczas mszy polowych i przekonałem się, że praca w tak pięknie zorganizowanym obozie była łatwa i owocna. Uznanie, przywiązanie i wdzięczność, jakich doznałem, były dla mnie nowym dowodem, że wojsko polskie przedstawia wdzięczny teren do pracy oraz dobry materiał, nad którym praca dzielnego i świadomego swych obowiązków dowódcy osiągnąć może rezultaty, pozwalające nam odważnie patrzeć w przyszłość.



SZERMIERZ OBSKURANTYZMU

Z DZIEJÓW WALKI O SZKOŁĘ POLSKĄ PRZED STULECIEM

1.

Na szlaku Batorego nie jedna rozegrała się walka i nie samą tylko orężną ścierano się tu bronią. Północno-wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, położone na dziale dusz, na granicy dwu religij, dwu kultur, łacińskiej i bizantyjskiej, dwóch systemów państwowych: zbudowanego tu na wolności, tam na despotyzmie, dwu idej narodowych, — są od stuleci widownią przewlekłego mocowania się, nieustępliwych, zawziętych zmagających Polskę a Rosję. Mając na uwadze całokształt dziejów walki, określił Mickiewicz ziemie te jako wielkie, nieustające pobojuwisko. „Obszerne te ziemie — mówił w Prelekcjach paryskich — były miejscem walki Rusi z Polską. Na tem bojuwisku ścierała religia katolicka z kościołem wschodnim, rzeczpospolita szlachecka z systemem samowładztwa”. Tu siłowały się przez wieki owe „trwałe dwa nieprzyjazne pierwiastki życia politycznego, które działają w masie Słowian”. Obok długotrwałej, zawieszonych broni czasowo zaledwie przerywanej walki fizycznej polsko-rosyjskiej, ponad nią, jakby owe napowietrzne zma-

gania się duchów poległych, o których mówią sagi, toczy się tu również walka na dusze i na ideje. Któż powie, że rozegrana jest już ostatecznie?

Jedna z najchlubniejszych bitw w przewlekłej tej wojnie stoczyła się około dawnego Uniwersytetu Wileńskiego. Dzieło zwycięskiego króla Stefana, wierny słuzebnik ducha narodowego, Uniwersytet Wileński, zwłaszcza w wieku XIX, stanął jak bastion naróżny, groźny napastnikom, wyniośle czuwający nad bramą twierdzy. W trzecim dziesiątku tego wieku stał się bastion ten obiektem planowego oblężenia, celem najzaciętszych ataków, kierowanych wytrwałą ręką rządu rosyjskiego. Ostatecznie uległ on przemocy, zdobyto go i na długie lata zrównano z ziemią. Ten okres walki poczytuje przecież Uniwersytet Stefana Batorego za chlubę swej przeszłości. Zgniecenie wileńskiego ogniska oświaty po upadku powstania listopadowego było z rzędu tych przegranych, których cel daleki, lecz które wkońcu wygrywają na wieki.

W publikacji, traktującej o walkach zbrojnych, toczonych różnemi czasy „na szlaku Batorego”, wolno, sądzę, włączyć do szeregu artykułów

2.

pisu, dopiero dokumenty rządowe wydają nam jego nazwisko. A że ma ona bliski związek z dziejami dawnego Uniwersytetu Wileńskiego i wogóle z dziejami oświaty polskiej w obrzeżnych północno-wschodnich krainach dawnej Rzptej, należy jej poświęcić tutaj szerszą wzmiankę, zaiste nie zaszczytną. Trudno. *Suum cuique*.

Kiedy po procesie filareckim zawiła groźna chmura nad szkolnictwem polskiem w Okręgu Wileńskim, zatem wogóle nad losami polskości w ogromnej połaci zaboru rosyjskiego, kiedy triumfujący Nowosilcow pod rękę z Pelikanem przydeptywali tłące tu i ówdzie po szkołach zarzewia „bezrozumnej polskiej narodowości”, ksiądz kapelan kamieniecki pośpieszył samorzutnie, ani proszony, ani dziękowany, wetknąć w tę kaduczną grę swoje kiepskie trzy grosze. Mianowicie z początkiem r. 1824 wygotował on na piśmie projekt reorganizacji ustroju szkolnego na Litwie i Rusi i z memorjałem tym p. t. *O edukacji* pośpieszył do kancelarii W. Księcia Konstantego. Stamtąd powędrował elaborat do użytku Nowosilcowa do Wilna. Nie bardzo wiadomo, jakie były dalsze koleje pisma; najprawdopodobniej jednak doraźnego rezultatu ono nie wydało, powędrowało ad acta, do archiwum Okręgu Naukowego, gdzie też spoczywa do dziś dnia (fasc. ¹²⁴/998, Nr 1 z r. 1824), jako żałosny okaz zbytku reakcyjnej gorliwości ze strony, niestety, Polaka, który śpieszył satripom z dobrowolną pomocą do dzieła niszczenia polskiej oświaty.

Memorjał ks. Marczyńskiego wytknął sobie dwa cele, splecione najcudaczniej i, dalibóg, nie jednorodne: chciał mianowicie zreformować w Okręgu Naukowym Wileńskim ustrój szkol-

nictwa w ten sposób, by na tem zyskała religijność—i lojalizm. Pisząc go, jako „wierny syn Rosji”, autor ostatnią otuchę pokłada w Konstantym; to też okadza go pochlebstwami (przyznaje mu np., że w tak krótkim czasie więcej zrobił dla dobra Warszawy, niż „poprzednicy” jego, t.j. królów polscy „przez tak długi pobyt swego panowania”), i na jego pierś wylewa żale swe na szkołę polską. Ma jej zaś przede wszystkim za złe, że zaniedbywa rosyjszczyznę, że za mało i źle jej uczy. Zdaniem jego potrzeba, „aby przy każdym gimnazjum było przynajmniej trzech nauczycieli świeckich do rosyjskiego języka, bo dotąd młodzież mało ma w nim wprawy, i ten język tak potrzebny — zaniedbany począściej w szkołach”.

Jednakowoż dla polepszenia ducha szkoły owoczesnej piastuje autor sposób daleko skuteczniejszy, bardziej niezawodny, niż pomnożenie liczby godzin języka rosyjskiego. Jest nim *idée fixe* jego, myśl odświecczenia szkoły, i to zarówno w gronach nauczycielskich, jak i w systemie nauczania. Autor memorjału stawia sprawę zasadniczo, wypowiada wojnę liberalizmowi, który się, jego zdaniem, okopał w szkole, jak w fortecy. „Najjaśniejszy Panie, — pisze on — aby ukształcić dobrych, wiernych i bogobojnych obywateli dla społeczności, potrzebne są dla nich jedynie religia, cnota i nauki; bez nich nikt krajowi nie był i nie może być użytecznym. Doświadczenie stwierdziło tę prawdę, że ludzie uczeni bez religii stali się przyczyną różnych zamieszkań i buntów, którzy tak daleko nie byliby postąpili, gdyby od nauk nie wzięli jakowejś pomocy”.

Tymczasem właśnie w terażniejszych szkołach religia „za mały tylko

uważa się przedmiot i nauczyciele tak świętej nauki za najniższych poczytani są w stanie nauczycielskim; młodzież napojona tylko bywa jakąś czczą filozoficzną liberalnością. Najpierwsze miejsce po szkołach zastępują umiejętności, a religja, chociaż ją osoby duchowne dają w godzinach wyznaczonych, mało wkorzenia się w serca młodych, gdyż ci, oprócz godzin religji poświęconych, nic więcej chrześcijańskiego na lekcjach przez cały tydzień nie słyszą... Nauczyciele świeccy zaprzatają się swoją rzeczą, nie obchodzą ich obyczaje młodych, nie troszczą się o wzrost religji w ich sercach, a często nawet swym złym przykładem, zarażeni bydlęcym materjalizmem, niszczą i wytępiają w młodych słyszane jakiegokolwiek zasady i przepisy religji i w śmiech obracają najświętsze wiary tajemnice“.

Radę na to zło widzi autor jedną tylko: w odrobieniu szkód, jakie poczyniła wychowaniu Komisja Edukacyjna, w przywróceniu stanu rzeczy z przed lat 60, w zniesieniu szkoły świeckiej, a oddaniu wychowania wyłącznie w ręce duchowieństwa. Stan rzeczy z przed czasów Komisji wydaje mu się rajem. „Przed lat 60 szczęśliwszą była edukacja. Każdy, ukończywszy ją, był wiernym rządowi, dobrym synem i pełnił święcie obowiązki stanu swego. Zatrudniali się nią sami tylko duchowni i tymto stróżom religji powierzali rodzice najchętniej swe dzieci do wychowania, gdzie widzieli je nie tylko oświecone, ale przyzwyczajone z młodu do pełnienia chrześcijańskich powinności... Duchowni przestrzegali najmocniej, aby młodzież im powierzona nie znała żadnego zepsucia i jakiegś urojonej samotności; przeto zakazane były dla niej teatry,

reduty, bale, kasyna i inne schadzki potajemne, gdyż doświadczenie pouczyło, że tam najwięcej przyzwyczajał się młody do zbrodni, nabierał niechęci ku cnocie i nauce, a zwolna stawał się ofiarą nieszczęsnej rozpusty”.

„Dawniej ukończywszy młody szkoły, przynosił zawiązkę pociech w dom rodzicielski, towarzyszyły mu niewinność, obyczaje, religja... Dziś wychodzi gnuśny ze szkół, bez religji, występkom samym oddany, całkiem demoralizowany, nadęty egoizmem i próżnemi umiejętnościami, o wszystkim zuchwale rozprawia, z pogardą równych sobie; pamięć jego, upstrzona i obciążona wyrazami mniej potrzebnymi, posiada napozór jakąś iskierkę oświaty, bez uczciwego serca”... Dzisiejsza szkoła — zdaniem ks. kapelana — „nie wyda nigdy ludzi bogobojnych, cnotliwych i pracowitych”. Prognostyk zaiste nie różowy; portret młodzieży zaiste nie pociągający. Pomyśleć, że w intencji autora miał on objąć i scharakteryzować włącznie także młodzież filarecką! Dla lepszego zaś ukształcania tych ludzi „bogobojnych, cnotliwych i pracowitych” radby autor przywrócić do szkoły nawet dawny tradycyjny zabieg wychowawczy — chłostę. Nie może przeboleć, że dzisiaj „młody nie zna dobrodziejstw Ducha Św., czyli różgi, utrzymującej go od złego”. Taki to już był pedagog.

3.

Gdyby memoriał ks. Marczyńskiego nie zawierał nic ponad projekty większego zrusyfikowania i odświecczenia szkoły, możnaby przejść koło niego z cierpkim uśmiechem pobłażania, autora jego mieć co najwyżej za nieumiarkowanego, ale i nieszkodliwego wstecz-

nika, za spóźnionego wroga Komisji Edukacyjnej, niewybrednego tylko w szukaniu możnych sojuszników. Niestety, są w memorjale rzeczy gorsze; autor odważa się na podsuwanie Konstantemu projektów, w ustach ówczesnego Polaka poprostu haniebnych. Poddaje W. Księciu myśl i sposoby ograniczenia wogóle oświaty w Okręgu Naukowym Wileńskim. Mierzi go nietylko system nauczania i wychowania w owoczesnej szkole, mierzi go szkoła sama, nie w smak mu gęstość owoczesnej sieci szkolnej, chciałby zapobiec rzekomej nadprodukcji inteligencji; zdaje się nie rozumieć złowrogich konsekwencji narodowych takiego pociągnięcia. W memorjale tym jawnie występuje myśl o redukcji szkolnictwa polskiego, myśl tak potwornie urzeczywistniona po r. 1831.

Statystyk nasz chytrze nibyto umiał zalecić rządowi swój plan odświeżenia szkół, poparł go propozycją—jak sądził—najwymowniejszą, przynętą bardzo łakomą. Według tego planowania reforma nie obciążałaby zgoła skarbu państwa, owszem przyniosłaby mu wcale pokaźny dochód. Trzebaby tylko, by się rząd zdecydował przy tej sposobności zagarnąć poprostu na swój użytek fundusze z dóbr pojezuickich, stanowiące finansową podstawę dotychczasowej gospodarki szkolnej, administrowane przez Uniwersytet Wileński. Ciężar zaś utrzymania szkół rozłożyć najzwyczajniej na tych, co pobierają w nich nauki. Występuje w ten sposób w memorjale zasada samowystarczalności szkoły, oświaty płatnej, ogłoszona z naiwną prostotą przewrotności.

Propozycję swoją unaoczniał autor, jak na statystyka przystało, cyframi:

„1-o	Podług ustawy 1803 r. Uniw. Wil. pobiera pensji rocznej r.sr. 105.060 kp. —
2-o	Na gimnazjum każde wyznaczono pensji rocznej r. sreb. 6.200, licząc takowych ośm w całym Wydziale, czyni „ 49.600 „ —
3-o	Liceum Krzemienieckie, podług drukowanego rachunku, miało dochodu w roku 1820: 632 duk., 25.721 r. as. 94 ¹ / ₄ kop., 73.394 r. sreb. 36 kop., co wynosi . . . „ 81.721 „ 36
4-o	Szkół powiatowych szesnaście podług etatu biorą pensji rocznej po 2.820 r. sr., co czyni w ogół „ 45.120 „ —
Suma roczna r.sr. 281.501 kp.36”	

Do tej kwoty przychodzą jeszcze wydatki na emerytów i zasiłki dla szkół duchownych, w sumie około 300.000 rub. sr.; łącznie dochód roczny z dóbr pojezuickich obliczyć można na blisko sześćset tysięcy rubli sreb. Całą tę sumkę mógłby sobie rząd najzwyczajniej zagarnąć. Z pełną gotowością ofiarował mu ją pocziwie autor. „W tak wielkiem imperjum, jak jest Rosja, — pisze — ogromne są wydatki; przeto skarb sum z dóbr pojezuickich użyć potrafi na inny cel chwalebny”. Ze fundusze te ustawowo były przeznaczone na oświatę na Litwie i Rusi—to drobnostka. Inne środki utrzymania szkół wydestać tak łatwo!

„Gdy duchownym oddany będzie ster edukacji, nie będzie już rząd płacił żadnej pensji emerytom świeckim i niewiele go kosztować będzie cała edukacja. Licząc bowiem na każde gimnazjum po 500 uczniów, odkryje się osobny fundusz na utrzymanie nauczycieli, ponieważ każdy chodzący do szkół może płacić za nauki dziecięć rub. sreb. rocznie do kasy szkolnej, co nie jest wielką ceną. Uczęszczający na kursa do Uniwersytetu mogą złożyć corocznie potrójną takową sumę”. W ten zatem sposób każde gimnazjum będzie miało rocznego do-

chodu 5.000 rub. sr., „z czego opłaca się przyzwocie nauczyciele i utrzyma się w porządku stan budowli szkolnych. Płacąc ojciec za edukację syna, przynagli go do korzystania lepiej z nauk, a większa część, nie znajdując możliwości opłacenia szkolnych powinności, uda się do rzemiosł lub rolnictwa, które jeszcze dotąd mały rozrost wzięły”.

Już to wogóle o tę „większą część” młodzieży, któraby w rezultacie konfiskaty funduszy szkolnych została pozbawiona edukacji wyższej, bynajmniej autora memoriału głowa nie boli. Owszem, jest mu to na rękę. Jego bowiem zdaniem oświata już się zbyt była wówczas rozszerzyła na ziemiach północno wschodnich Polski i temu zatrważającemu, zgubnemu zjawisku należałoby wogóle wprost przeciwdziałać. Przeciwdziałać zaś winien... rząd rosyjski. „Wypada... ścieśnić i ograniczyć teraźniejsze, nadto rozszerzone oświecenie, aby każdy po skończonej edukacji nie wychodził na próżniaka, ale na pożytecznego krajowi mieszkańca”.

Droga do tego zacnego celu bardzo prosta. Potrzeba mianowicie zaprowadzić w całym okręgu jednolity typ szkoły średniej, a przy tej sposobności zredukować ilość szkół więcej niż przez połowę. Autor nazywa to skromnie „sprostowaniem oświecenia w Wydziale Wileńskim”. Oto jakby należało przeprowadzić niesławne to dzieło: „Do Wydziału Szkolnego Uniw. Wil. należą gubernje: wileńska, grodzieńska, mińska, witebska, mohilewska, wołyńska, podolska i obwód białoruski. Liczymy w Wydziale Uniw. Wil.: jeden uniwersytet, jedno liceum,

ośm gimnazjów świeckich, szesnaście szkół powiatowych i sześć szkół narodowych. Klasztory utrzymują swym kosztem trzy gimnazja i czterdzieści szkół powiatowych. Nie wchodzi do tej ilości szkółki parafjalne i inne prywatne zakłady edukacyjne”.

Otóż gdyby „sprostowano” oświecenie w Wydziale, „możnaby założyć jeden uniwersytet i trzy lub cztery gimnazja w każdej gubernji, a szkółki parafjalne bez pomocy szkół powiatowych usposabiałoby młodzież do gimnazjum”. Czyli, żeby rzecz statystyka dociągnąć do kropki i wniosek ująć w cyfry, zamiast 74 szkół średnich, t. j. liceum, gimnazjów, szkół powiatowych i narodowych, świeckich i zakonnych, wypadłoby zostawić w Wydziale najwyżej 32 gimnazja, obok uniwersytetu i szkółek parafjalnych tolerowanych w dotychczasowym stanie. Innemi słowy, oddając duchowieństwu całe szkolnictwo średnie, należałoby właściwie skreślić wszystkie szkoły świeckie, a zakonnych co najmniej dziesięć. Oto co się nazywa „sprostowaniem oświecenia”.

Zauważmy jeszcze, że milcząco proponuje tu autor zniesienie Liceum Krzemienieckiego, wiemy chociażby z *Pamiętników Domowych* M. Grabowskiego—jak obmierzłego owoczesnym wstecznikom. Rzecz też jasna, że przeniesienie kosztów utrzymania Uniwersytetu tylko na studentów zamknęłoby znakomicie dostęp do niego także dla „większej części” młodzieży, w rezultacie zaś prostą i krótką drogą prowadziłoby również do upadku wszechnicy. Nie zaradziłby temu zgola środek policyjny, proponowany przez memoriał, by dla zapewnienia szkołom

krajowym większego dochodu, no i dla wzięcia oświaty już całkowicie w dyby, — ustawowo zamknąć młodzieży dostęp do studjów zagranicznych.

A wreszcie korona tej obrzydliwości reformatorskiej. Tak zdewastowaną sieć szkolną należałoby wyjąć z pod rządu uniwersyteckiego i zdecentralizować. Dla kierownictwa oświaty, szkołami, zdaniem księdza kapelana i byłego rektora szkoły, niepotrzebny zgoła kurator, zbyteczne zbiorowe ciało pedagogiczne rady profesorów. Szkoły należy poddać pod władzę biskupów i... gubernatorów, właściwie zaś jednych tylko gubernatorów, bo biskupi, nie mając władzy wykonawczej, będą się musieli zadowolić... donosami. „Bezpośrednią władzą nad szkołami w całej gubernji opiekować się mają biskupi i gubernatorowie. Pierwsi, jeżeli co złego zobaczą, powinni natychmiast raportować gubernatorom, a ci corocznie zwiedzając gubernję, powinni wizytować podobnie szkoły, wglądając w karność i patrzeć, czy wszystko podług prawideł przepisowych odbywa się”. Nie dodał już autor, czy w zastępstwie gubernatora nie mógłby spełnić tej funkcji wizytatorskiej... czastnyj przystaw; kwalifikacje pedagogiczne jego byłyby właściwie te same.

Przebrnąwszy przez cały ten elaborat z pod ciemnej zaiste gwiazdy, czytelnik staje osłupiały i niepewny, co sądzić o nim i o jego autorze: nikczemność czy głupota? Zdaje się wszelako, że raczej to drugie; mówilby za tem horrendalne naiwności założeń i przesłanek całego projektu. W zaślepieniu swem nie widział nasz szermierz obskurantyzmu i serwilizmu, że polityka oświatowa rządu rosyj-

skiego w Wydziale Wileńskim miała, oprócz rusyfikacji i oprócz tłumienia oświaty, trzecią jeszcze linię wytyczną, równie jak tamte zasadniczą, a wprost przeciwną głównemu założeniu powyższego memoriału: dążyła ona jawnie i stale do bezwzględного wyrugowania ze szkół... właśnie duchowieństwa katolickiego.

Memoriał ks. Marczyńskiego nie jest w dziejach niszczenia Uniwersytetu Wileńskiego i jego Wydziału Szkolnego bynajmniej unikatem. Ma jednak tę haniebną palmę pierwszeństwa, że wyprzedza o parę miesięcy czy lat podobnie obskurantkie, rusyfikatorskie memoriały renegata Sękowskiego, projekty Chowańskiego, Murawjewa, Szipowa, Pelikana i in. Tylko, że ci jego następcy, lepiej obeznani z „duchem czasu” i z zamysłami rządu, raz po raz, solidarnie uderzają w złowrogie dla rządu wpływy duchowieństwa na oświatę. Zdaniem Murawjewa, fanatyzm duchowieństwa rz.-katolickiego w popieraniu nacjonalizmu polskiego w Okręgu Naukowym Wileńskim „winien zwrócić szczególną, najsurowszą uwagę rządu”; należy poznać szkoły zakonne, a duchowieństwo katolickie wogóle pozbawić prawa nauczania. Te też wskazówki, a nie projekty kapelana kamienieckiego, wcielał rząd w życie, realizując je w kolejnych, coraz dalej idących ukazach*). Ta właśnie dążność była już w r. 1824 jasna jak na dłoni; trzeba było zaślepienia czy naiwności, by jej nie widzieć. Z linii wytycznej nie dałby się rząd rosyjski sprowadzić na-

*) Zob. H. Mościcki *Pod znakiem Orła i Pogoni*, wyd. 2, str. 173 i n. „Zniesienie Uniwersytetu Wileńskiego”.

wet za cenę tych zysków pieniężnych, jakimi mu błyskał przed oczyma nieopatrny ksiądz kapelan kamieniecki. Przecież i tak wysunięte tam cele osiągał carat stopniowo, a niezdługo „wyprostował” gruntownie oświe-

cenie na zabranych ziemiach polskich i zagarnął polskie pojezuickie fundusze edukacyjne. Obył się zaś przytem całkowicie bez porady, z jaką mu się wstydliwie wpraszał nieogłędny polski autor memorjału z r. 1824.



STANISŁAW MATUSIAK
por. rez.

WALKA MŁODZIANA Z BAZYLISZKIEM
(podług legendy wileńskiej).

ŻEROMSKI JAKO POETA CZYNU ZBROJNEGO

„Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec Boży”.

Słowacki.

Profesor Stanisław Wędkiewicz w jednym z numerów „Przeglądu Współczesnego” (1925 r.) podał wiadomość, że kandydatura Stefana Żeromskiego do nagrody Nobla, wysunięta jednocześnie z kandydaturą Reymonta, upadła, ponieważ sędziowie szwedzcy zostali zniechęceni jaskrawym imperjalizmem i militarystką, przebijającym jakoby z twórczości autora „Dumy o hetmanie”.

W istocie: w wielu utworach Żeromskiego huczno od wojennego zgiełku, od szczęku broni, rojno od rycerstwa i duszno od przelanej krwi. Wystarczyłoby „Popiołów”, aby akademików szwedzkich utwierdzić w mniemaniu o wojowniczym temperamencie ich autora. Lecz oprócz „Popiołów” istnieją inne jeszcze, niemniej bojowe dzieła, jak wymieniona tu już „Duma o hetmanie”, „Sen o szpadzie”, „Sułkowski”, a może „Charitas”, w których niewprawne oko snadnie dopatrzyć się może gloryfikacji oręża.

Warto więc sprawdzić, jakiego rodzaju i jakiej próby jest ten okrzykany militarystką Stefana Żeromskiego.

Jedną myślą są związani i z jednego ducha są wojownicy Żeromskiego, od króla Bolka z „Walgierza Udałego” aż do legionisty Jasiołda z „Charitas”. Oni wszyscy są jakgdyby upostaciowaną filozofją polskiego militarysty, oni w czynach swych dają odpowiedź na pytania: w imię czego „wyruszali na bój chłopcy nasze”, co chcieli osiągnąć przez swe zwycięstwa, w czym szukali chwały u ojczystego plemienia?

Przerzucmy choćby pobieżnie pewne stronicie twórczości wielkiego pisarza.

Kiedy generał Sokolnicki (w „Popiołach”) przed bitwą pod Raszynem zanoszą ku Bogu samotną swoją modlitwę, z serca, z polskiej żołnierskiej duszy wydziera mu się westchnienie:

„Kiedyż to ja cię wyrąbię, ziemio?”

Kiedy książę Sułkowski, ucząc się potęgi Napoleona, podpatrując jej tajemnice i sekrety, we wszystkim uznawać równym Cesarzowi, w jednym, jak sam przyznaje przed Gintultem, nie może Bonapartego doścignąć: w zi-

mnem okrucieństwie, przed którym wielki zdobywca nie cofa się nigdy dla osiągnięcia swych celów. Napoleon prowadzi wojnę dla wojny — i staje na szczytach potęgi. Sułkowski bruździ niepokonany polski sentyment, Sułkowski nie ma instynktu zaborczego!

Aby nie mnożyć przykładów porzucę na dwu powyższych i podkreślę, że autor „Popiołów” wszelkimi sposobami wypukla tę właśnie cechę polskiej siły zbrojnej: brak ekspansywności i pierwiastków imperjalistycznych. Cecha ta jest poniekąd uzasadnieniem tego systemu militarnego dawnej Rzeczypospolitej, który nazywał się pospolitem ruszeniem. Rycerstwo zwoływano pod broń, gdy wróg stawał u granic państwa, a często, gdy już w głąb kraju zapuścił swe falangi. Przypomnijmy sobie z historii, ile to nadludzkich wysiłków, ile chytrych zabiegów musiał przedsięwziąć Batory, by tę bierną polską moc pchnąć na Moskwę. A w sto lat po nim z tym samym oporem rycerskiej duszy zmagał się Sobieski, zamyślając o odsieczy Wiednia. Nigdy bowiem zbrojne natężenie narodu polskiego nie szło w parze z koniecznością polityczną, gdy ta wymagała agresji.

Sławna na cały świat polska bitność i umiłowanie „wojaczki” dziwnie kojarzyły się z tą niechęcią do wyściubiania szabli poza granice Ojczyzny. Żółkiewski, stanąwszy przeciw niej, przypłacił zuchwałość głową, Sułkowski marzenia swe i życie pogrzał w Egipcie.

I trzeba było dopiero wypraw napoleońskich, które ten instynkt antyzaborczy przytępiły w charakterze naszym, aby żołnierz polski, idąc przez Rzym, Saragossę, San Domingo i Mo-

skwę do uciemnionej Ojczyzny, wypisał na swych sztandarach: „Za naszą i naszą wolność”..

Odtąd zaczyna się apostołstwo polskiego oręza, wrogą mocą wypieranego z ziemi ojczystej; odtąd zaczyna się owo „wyrąbywanie ziemi”, o którym myśli Sokolnicki, wyrąbywanie Polski z pod przemocy zaborców, nie tylko w kraju ojczystym, ale i po cudzych lądach i morzach. Na zew Bonapartego idzie polski wojak wyrąbywać tę ziemię wszędzie tam, gdzie mu berło cesarskie wskaże. Wierzy Krzysztof Cedro, siekąc Hiszpanów pod Sammosierą, że walczy o wolność rodzimego dworu.

Ale są też w pokoleniu żołnierzy napoleońskich i tacy, którzy nie mogą przezwyciężyć w sobie przyrodzonej polskiej pasywności, którzy gotowi są zginąć, ale na ojczystym zagonie. Takim jest w „Popiołach” kapitan Wyganowski.

Wstręt do zaborczości, jako cechę, i „wyrąbywanie ziemi”, jako bodziec ducha rycerskiego Polaków — uznał Żeromski za podstawy polskiej ideologii militarnej w przeszłości. Na nich wzniesione zostały cnoty rycerskie: waleczność, honor i prostota. Waleczność, w której jest pogarda osobistego szczęścia i życia dla wspólnej sprawy, honor, który upadającego z głodu Cedrę wyodrębnia z tłumu hulających w kościele żołdaków, nie pozwalając mu zasiąść z nimi do wspólnej uczty w zbeszczeszczonej świątyni, prostota, z jaką dokonywają czynów wodzowie i szeregowcy polscy.

Forma Żeromskiego z doskonałą jasnością utrwała te momenty. W kilkunastu pospolitych słowach oddany jest iście książęcy gest Poniatowskiego, idącego pod Raszynem w szeregu żołnie-

rzy pieszych do ataku z karabinem w rękę. W powieści wygląda ten czyn szaro, ubogo i powszednio, bo taki był w owej chwili w duszy samego bohatera.

Sucho i lakonicznie brzmi relacja poety o pożegnaniu Dąbrowskiego z armją. Ten fakt, któremu towarzyszyć musiało wiele wzruszenia w duszach żołnierstwa i w duszy twórcy Legionów, przedstawiony jest zwięzłym stylem rozkazu dziennego:

„Dąbrowski niedługo wypoczywał. Komendę nad przyprowadzoną kolumną oddał Sokolnickiemu, a sam kazał przysposobić sobie konie do odjazdu w Poznańskie. Pułkownicy i szefowie z żalem go zegnali. Posiliwszy się, czem było można, Dąbrowski kazał wystąpić wszystkim sile żołnierskiej i przemówił kilka wyrazów na cześć dowódcy Sokolnickiego. Wojsko odpowiedziało mu pieśnią na jego chwałę. Stary wódz zdjął czapkę i słuchał z pochyloną głową. Zaraz potem odjechał”...

Wczytując się w ten bezbarwny opis trudno oprzeć się wzruszeniu, obrazu w nim przedstawionego nie sposób zapomnieć. I jednocześnie nie podobna nie usłyszeć tej pieśni „na jego chwałę”, która tu nie została nazwana, a którą wszyscy w duszy słyszymy na dźwięk imienia Dąbrowskiego: — Jeszcze Polska nie zginęła...

Postacie wodzów—Dąbrowskiego, Poniatowskiego, Sokolnickiego niewątpliwie są w „Popiołach” wyidealizowane, a są wyidealizowane uczuciem i tęsknotą tego pokolenia, które przegrało ostatnią, zdawało się, stawkę w roku 1863, któremu pozostał jeno „sen o szpadzie.” Z tego pokolenia właśnie wyszedł Żeromski...

Ten sen o szpadzie nie dawał mu

spokoju, odkąd wygasły ostatnie iskry orężnej rzeczywistości w „Popiołach”. Usłyszeliśmy stłumiony pobrzęk tej legendarnej szpady w „Echach leśnych”, poznaliśmy ją w rękę Piotra Rozłuckiego, dobytą w obronie czci rodaczki. Błysk jej był nagły i krótki jak cięcie piorunu. A później zaczął się kilkunastoletni ciężki sen o niej, wijący sobie gniazdo w sercu pod ciemną bluzą robotnika. Jedno pozostało rzeczywiste ze wszystkiej wojennej polskiej przeszłości: śmierć Żółkiewskiego, śmierć wojownika w *nierównej* walce z wrogiem, świadcząca o woli życia. Ta sama śmierć, co na ostrzu spisy podniosła siwą głowę hetmana, co na brzeszczotach szabel roztrzęsła genialny mózg Sułkowskiego, ta sama, która w oczy zajrzała Sokolnickiemu („Daj mi śmierć Żółkiewskiego”,—modli się wódz pod Raszynem) i kulą przebiła czaszkę powstańca Rozłuckiego, ta sama śmierć wywyższyła na miarę słupa szubienicznego głowę ostatniego żołnierza niewoli—Okrzei...

Nieubłagana konsekwencja myśli Żeromskiego, wcielenie polskiego tragicznego losu, jeszcze raz zagrozi *taką* śmiercią legioniście z czasów ostatniej wojny, Jasiołdowi („Charitas”), gdy mu triumfujący żandarm moskiewski ukaże w bliskiej perspektywie ów stryk szubieniczny, „polski okular”, przez który spojrzał na tamten świat Okrzeja.

Ale w tej wojnie kielich przeznaczenia wypełnił się po brzegi. Zmora śmierci Żółkiewskiego, wisząca nad głową polskiego żołnierza czasu niewoli została przewyciężona. „Przedwiośnie” niepodległej Polski zaczęło się od Cudu nad Wisłą, spełniającego do joty sen o szpadzie, z tej sa-

mej stali wykutej, co „złoty pałasz“ Krzysztofa Cedry.

Wtedy to, na jesieni, „w szeregach rozeszła się radosna wieść, iż wróg z kraju ustąpił i że bliski jest rozejm. Baryka i Wielosławski zwolnili się z szeregów, skoro w nich nie było już *obronnej roboty*“.

Na tych słowach, na 130 stronicy „Przedwiośnia“ kończy się Żeromskiego epopea rycerska, zaczęta rapsodem

„Walgierza Udałego“, ciągnąca się płomienistym szlakiem przez „Dumę o hetmanie“, „Popioły“, przez tragiczną opowieść „O żołnierzu tułaczu“, „Sułkowskiego“, „Wierną rzekę“ i „Charitas“.

Te wszystkie dzieła bowiem nie są niczem innym, jeno gloryfikacją polskiej *obronnej roboty*, której owocem jest dzisiaj — Niepodległe Państwo Polskie.



Poświęcenie boiska sportowego 6 p. p. leg. w Wilnie.

NIEWIERNĄ RZEKĄ

ZE WSPOMNIEŃ PROKURATORA

W roku, w którym zwycięski bagniet żołnierza polskiego zakreślił granice Rzeczypospolitej, zacząłem stawiać swe pierwsze kroki prokuratorskie.

Z zapalem młodzieńczym zabrałem się do pracy wpajania pojęć prawa i sprawiedliwości, znajdując się na placówce najdalej na wschód wysuniętej.

Szef mój, też pełen energii i zapału, umiał wyzyskać moje zamiłowanie do pracy i pewnego letniego poranku, zaprosił mnie do swego gabinetu, oznajmił, że oddaje pod moją opiekę bardzo ciekawą sprawę.

Miałem wiele różnorodnych spraw, przeważnie t. zw. sensacyjnych, więc z grymasem niezadowolenia wziąłem z rąk szefa podarte akta w niebieskiej okładce.

Wieczorem tegoż dnia, w ciszy mikiewiczowskich lasów, zalany blaskiem zachodzącego słońca, zabrałem się do czytania kart śledztwa i — pamiętam dotychczas — połknąłem je jednym tchem.

W głuchym zakątku nieświeskim, w zgiełku walki z nawałą bolszewicką, w małym zaścianku porzucony został na pastwę chwilowego zwycięzcy — zraniony w nogę oficer—Poznańczyk.

Znalazła się jednak szlachetna du-

sza niewieścica, która przygarnęła porzuconego, zabrała do swego domku i, podając porucznika za swego brata, pielęgnowała go, ukrywając jak najstawniej od oczu bolszewickich.

Suche karty akt śledczych nie wskazywały jakie uczucia łączyły biedną nauczycielkę z zaścianka z ranionym porucznikiem, lecz w swojej wyobraźni widziałem piękne sceny Żeromskiego na jawie odtworzone.

Idylla nie trwała zbyt długo. Cud nad Wisłą zmiotł najeźdźców i odgłos zwycięstwa odbił się echem nadziei też i w zacisznym zaścianku. Wojsko już się zbliżało do miejsca zamknięcia bohatera, gdy pewnego pochmurnego wieczora do zaścianka wkroczyło kilku uzbrojonych drabów i zaaresztowało nauczycielkę z jej bratem. Próżno dowodzili zabrani, że stali się ofiarą niesłusznej denuncjacji, że mogą świadkami i dokumentami udowodnić swe pokrewieństwo—na nic się zdała ich elokwencja — i w ciasnej celi aresztu gminnego musieli oni naradzać się nad swoim dalszym losem.

Młoda kobieta, korzystając ze swych znajomości, dowiedziała się niestety, że bolszewicy śpieszą jak najszybciej ewakuować gminę, że jeńcy

będą wysłani dalej następnego rana i że wojska polskie są już za rzeką, która jest oddalona zaledwie o dziesięć kilometrów od miejsca ich więzienia.

I znowu nie wyczytałem z akt sprawy w jaki sposób się stało, że uwięziona potrafiła tejże nocy uzyskać wolność i wyswobodzić z więzów swego „brata” — nie zwróciłem nawet uwagi na tę drobnostkę, bo myśli moje błąkały się koło tej rzeki, za którą była wolność i uroda życia.

Przed oczyma stanął mi młody chłopak, zapatrzony w nocną dal, śpieszący, utykając, do tej „wiernej rzeki”, której fale niosły mu ukojenie.

Uciekając, słyszy tętent pogoni i, jęcząc z bólu, biegnie dalej. Już bliższy jest cel, już w brzasku świtania błyszczy woda, lecz jeźdźcy pędzą się coraz bliżej i słysząć rżenie koni — jeniec ostatnim wysiłkiem stawia niepewne kroki — oto już rzeka... Oto już wolność, życie, ale brak sił, ażeby przebyć te bystre wody. W śmiertelnej trwodze nad wartkim strumieniem przez chwilę zamyślił się jeniec...

Za późno!... Ciszę nocy wrześniewej rozdarł odgłos strzałów...

Jasne skrzydła Białego Orła okryły męczennika...

Nad ranem oddział kawalerji legjonowej znalazł nad rzeką zwłoki nieznanego oficera polskiego...

Gdy skończyłem, las mickiewiczowski smutnie szumiał... W półmroku widziałem oczy porucznika, skierowane na tamten brzeg — brzeg wolności, słyszałem ostatni jego jęk i skargę na „rzekę niewierną”...

Miałem tyle słów w tej sprawie — podziękuję dla „niej”, chwały dla „niego” i potępienia dla winowajcy — oskarżonego, którego sprawką była denuncjacja i spowodowanie pogoni, lecz wszystkie te słowa zostały w moim sercu — niewypowiedziane, bo przed rozprawą sądową nadeszła wiadomość, że winowajca jest przed innym sądem, nie ziemskim.

Ale, swoją drogą, czy się nie wydaje dziwnem, że nasze ciężkie, zdawałoby się tak beznadziejnie szare, życie stwarza dzieła, godne pióra wielkiego poety i maluje obrazy, wobec których bezsilny jest pędzel najgenialniejszego mistrza.



HALLER IDZIE!..

— Doktorze! Otwóście-no, doktorze!..

Pan „chorąży”, przed trzema laty aktor teatrów nadwożańskich, obecnie—tajemniczem zrządzeniem losu—technik oddziału drogowego przy rosyjskiej armii czynnej, walił pięścią w zamknięte drzwi starego, zniszczonego wagonu towarowego, znajdującego się w szeregu podobnych inwalidów kolejowych, stojących na torze zapasowym, za rogatkami rumuńskiego miasta B*, i stanowiących siedzibę rosyjskiego szpitala polowego.

Ten niezwykle łańcuch wozów towarowych różnych rozmiarów, konstrukcyj i barw, upstrzonych napisami prawie we wszystkich językach europejskich i podobnych do siebie tylko pod względem zdecydowanej i niewątpliwej niezdolności do jakiegokolwiek ruchu, — świadczył wymownie o sympatji Rumunów do swych sprzymierzeńców, dla których nie znalazło się w całym miasteczku B* lepszego lokalu.

Szpital polowy zawędrował do Rumunii razem z armją rosyjską, zwycięsko maszerującą przez Dobrudżę w kierunku Salonik, wówczas, gdy Rumuni, również zwycięsko, zabierali Sied-

miogród. Ta wspaniała operacja wojenna dwu sprzymierzonych armij, idących w przeciwnych kierunkach, bo na północ i południe, zakończyła się nagłem a niespodziewanem spotkaniem kochających się sprzymierzeńców na północnym skrawku Rumunii—w Mołdawji — i skonstatowaniem smutnego faktu, iż dwie trzecie królestwa rumuńskiego znajdują się już pod okupacją Niemców.

Wojna pozycyjna sprowadzała się do ciągłego oczekiwania nowej ofensywy niemieckiej, a że nietylko Polak jest mądry po szkodzie, lecz i Moskal, przeto zwrócono baczną uwagę na drogę ewentualnego „odwrotu strategicznego” i postawiono w B* szpital, który miał regulować ruch rannych i chorych. W B* znalazł szpital tylko oddział drogowy pod dowództwem dwóch prawdziwych inżynierów—chemika i elektrotechnika, którzy mieli pod sobą dość niezwykle pod względem kwalifikacyj skład techników, kilkunastu „krzyżaków”, czyli żołnierzy pospolitego ruszenia, oraz tłum robotników rumuńskich.

Szpital i oddział drogowy stanowiły załogę rosyjską, raczej „ukraińską”, gdyż głównodowodzący frontem

nie uznawał rządu bolszewików i pertraktował z republiką ukraińską.

Był początek r. 1918, okres intensywnego tworzenia się najprzeróżniejszych oddziałów narodowych. Oficerowie i żołnierze zakrywali rosyjskie gwiazdki na czapkach różnokolorowymi wstążeczkami o barwach narodowych na znak przynależności do oddziałów (przeważnie nieistniejących) polskich, czeskich, ukraińskich, tatarskich, łotyskich, litewskich, białoruskich, ba! nawet — syberyjskich...

Pan chorąży wpadł w ten wir zrzucających pęta lub budzących się narodów. Podczas wojny odnalazł siebie: poczuł w swej piersi prawdziwe, gorące polskie serce, dał się porwać uczuciu tęsknoty za nieznaną ojczyzną i pragnieniu ofiary dla niej. Jako jedyny „oficer” — Polak w B*, uzyskał od polskiego komitetu wojskowego nominację na „komendanta polskiej załogi w B*”, prowadził wśród tej załogi, składającej się z 15 dobrze już szpakowatych żołnierzy z Mohylew-szczyzny i Witebszczyzny, gorącą agitację za wstąpieniem do szeregów polskich, wysyłał do wszystkich dygnitarzy wojskowych i cywilnych depesze z żądaniem polonizacji szpitala lub oddziału drogowego, — jednym słowem — „działał”...

W okresie największego działania pana chorążego przybył nagle do szpitala czyto jako chory, czy jako ordynator, młody doktor, suchotnik, pesymista i kpiarz, lecz „prawdziwy” Polak z Warszawy.

Pan komendant zdecydowanie uległ wpływom doktora i nie robił nic, nie zasięgnąwszy jego rady, męczył się i cierpiał, nie rozróżniając żartów i kpin od słów poważnych, bał się doktora, czując jego wyższość intelektualną, i

uwielbiał, gniewał się na niego i kochał skrycie... Do tego właśnie doktora dobijał się obecnie pan komendant.

— Otwórzcie, doktorze!

— Czy pan z byka spadł?... Szlag człowieka trafi od tego grzmotu — rozległ się głos z wagonu.

— Nie gniewajcie się, doktorze, zaśpiewał pan chorąży, na sposób rosyjski wymawiając t', — Są nowiny, niezwykle nowiny!...

— Nie zwracaj pan kontrafałdów swemi nowinami!... Mam już tego dość!... No, włącz pan...

Drzwi wagonu z jękiem, piskiem i zgrzytem powoli się rozsunęły, ukazując postać młodego człowieka o twarzy zboląlej i zmęczonej, oddychającego ciężko, z męczącym wysiłkiem. Doktor był nieubrany, więc prędko cofnął się znów do łóżka.

— Włącz, pan...

Pan chorąży nie kazał się prosić. Wszedł po drabince, przystawionej do wozu, i, zdradzając dobrą znajomość wagonu, od razu znalazł składane krzeselko i usiadł przy łóżku doktora. Wagon był prawie pusty. Dwa łóżka (jedno nieposiadające właściciela), dwa krzeselka, składany stół, parę walizek i szereg drobnych przedmiotów, porozrzucanych i porozwieszanych — zwykle wewnątrz namiotu lub kwatery oficerskiej.

Doktor ziewnął głośno i wyciągnął się...

— Zimnawo, psiakrew!..

Pan komendant poruszył się, nie wiedząc jak zacząć rozmowę.

— Te małe rumuńskie — zaczął znów doktor — ciągle kradną. Co to za naród złodziejski!.. Tak okradają się wzajemnie, że nawet po wsiach okna mają zakratowane; konie wszystkie Niemcom przefrymarczyli, artylerję

na wołach mają, a teraz już kradną co się da. Wczoraj podoficer rumuński pantofel mi z wagonu skradł!.. Jeden pantofel!.. Niech go piorun trzaśnie!..

Pan komendant uśmiechnął się:

— Ja szczęśliwszy jestem... Mnie kapitan rumuński okradł... Lornetkę Zeissa i termos.

Doktor nagle się rozgniewał.

— Więc pan tylko to miał mi do powiedzenia? I poto pan mnie budził o szóstej? Niech pana gęś kopnie lewą nogą!

— Nie... ja... Kiedy doktor taki dziwny... Ja nie wiem jak z panem trzeba mówić...

— Wcale nie trzeba ze mną mówić...

— Już doktor znowu zaczyna...

— A więc gadaj pan po ludzku! Zostaw te bujdy na resorach!

— Kiedy ja... — Dziwny: brutalny i drwiący sposób mówienia doktora onieśmielał pana chorążego, tem bardziej, że wielu powiedzeń nie rozumiał wcale. Starannie notował wszystkie ciekawsze słówka doktora i w domu tłumaczył je zapomocą słowników polsko-rosyjskich. Niestety. W żadnym słowniku nie mógł znaleźć wielu wyrazów; zresztą przekłady dosłowne często nie miały żadnego sensu. I nietylko kawały doktora: pamięta dziwny tytuł pewnej powieści: „Lamparcie życie”. Przetłumaczył, zdawałoby się, dobrze: Żyżń leopardow—i cóż?—wcale nie o lampartach była w książce mowa!

Ze słówek doktora szczególnie utkwiły w pamięci dziwne i tajemnicze „bujdy na resorach”. Co to są za bujdy i dlaczego mają resory, nie wiedział, lecz to mu tak przypadło do gustu, iż zaczął stale popisywać się

tem przysłowiem, aż użył w liście do narzeczonej. Panna Zosia z Samary oburzyła się szczerze. „Jesteś brzytki—pisała—upotrzebiasz takie wyrażenia, że nawet ja niczego nie rozumiem”...

— Więc, cóż? — zapytał znów doktor.

— Są niezwykle nowiny.

— Z komunikatu misji francuskiej?—Dowbór na czele stutysięcznej armji oblega Smoleńsk?.. Moskwa lada chwila będzie wzięta?..

— Kiedy pan żartuje... Przecież Francuzi muszą wiedzieć... Ale są wiadomości ważniejsze... bliższe przynajmniej... Dostałem list z Jass... Tam ruch niezwykle... Król radę zwołał... Nie wie co robić...

— Więc cóż się stało, do kaduka?..

— Żelazna brygada idzie do nas!..

— Co-o?..

— Idzie... Już przeszła front!..

— Gadajże pan po człowieczemu!.. Doktor aż usiadł na łóżku... Zakaślał się... Oddychał ciężko...

— Doktor wie... Jeszcze wczoraj mówiłem, że na tyłach armji austriackiej, tam, gdzie stały legjony... brygada żelazna... toczyła się jakaś bitwa...

— Już bitwa... Strzelali Szwaby na wiwat, a wam — bitwa!..

— Nie, bitwa prawdziwa... Nasi lotnicy... Mamy już dwa własne aparaty...

— A, niechaj niedźwiedź lata na waszych aparatach!..

— Ale... Więc—bitwa... Wywiad ustalił, że walczą prawdopodobnie Polacy z Austriakami...

— Ki djabel?

— Polacy chcieli — i przeszli — front!.. Idą do nas!..

— Do bolszewików?!

— Do nas!

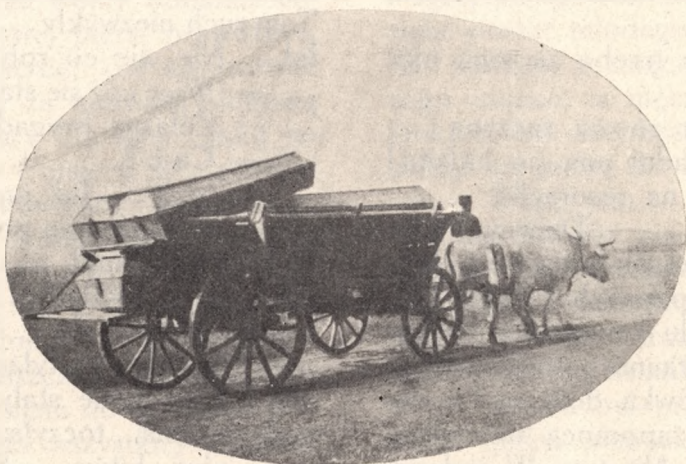
— Do kogo—was? Do tych paru

chłystków, co siedzą w komitetach? Może do „pana komendanta załogi polskiej w B?..” Gdzie jesteście „wy”?.. I kto ci—wy? Niech was...

— Doktorze... Jakże można... Korpus przecież się tworzy... Więc brygada połączy się z nami i razem pójdziemy do Dowbora... Tam Piłsudski... On, podobno, już przeszedł granicę...

— Tak, tak!.. Piłsudski pociągiem kurjerskim jedzie do Kijowa... Miljon Polaków już stoi pod Dowborem, miljon wycofacie z szeregów rosyjskich, miljon zmobilizujecie w Rosji, miljon

nu i zatrzymał się przy otwartych drzwiach. Słońce już było dość wysoko. Koło wagonu przesuwały się brudno-zielone postacie żołnierzy szpitalnych, głośno rozmawiających. Przed oczami rozpościerała się szeroka, naga równina, otoczona na horyzoncie również nagimi wzgórzami. Ani jednego drzewa,—żadnego budynku. Po drodze, zarysowanej cienką linią, powoli się posuwał wielki wóz, naładowany trumnami i zaprzężony w woły. Chłop rumuński siedł z długim biczem obok wołów...



przyjedzie z Ameryki, miljon się urodzi,—no, i podbijecie świat... Mrzonki!.. Doktor opadł na poduszki i zamknął oczy... — Ja mówię: mrzonki, bujanie, romantyzm!.. Życ nie umiecie... Bajek wam się zachciewa... Cudów!..

— Więc cóż trzeba robić?.. Łatwo mówić: żyć nie umiecie!.. A gdzie jest to życie?.. Pokażcie... Gdzie?..

— Gdzie?.. — Doktor powoli się podniósł i ociężałe zaczął się ubierać... — Gdzie?.. A lichy wie!.. — Wstał, przeszedł się wzdłuż wago-

— Trzeba się ubierać... Wpół do ósmej... Ta bestja karawaniarska jest punktualna jak zegarek. A jeżeli życia pan chcesz—masz!..—Wskazał ręką na wóz. — Popatrz pan na tego Charona rumuńskiego... U tych „szti rumuneszti” w armji epidemja tyfusu grasuje. Codziennie umiera po kilka osób. Więc, żeby nie zawracać głowy popom i „naczalstwu”, do tych trumien pakują gołych nieboszczyków (bieliznę zawsze ktoś skradnie) i Charon wiezie na cmentarz. Tam wyrzuca nieboszczyków do dołu i jedzie z po-

wrotem, żeby jutro do tych samych trumien nowych gości zabrać!.. Zobacz pan — te wieka na zawiasach — wynalazek praktyczny, bo w kochanej Mołdawii drzewa nawet na krzyż nie ma!.. I to jest — życie!.. Ten Charon — to życie!.. Kpi z waszych marzeń i ideałów, obojętny na piekło i raj, na życie wieczne i reinkarnację, — wie, że on żyje, — on i woły!.. A reszta padlina!.. Ludzka padlina pójdzie do jednego dołu, bydłęca — do innego, a jedną i drugą te same psy pożreć mogą... Tak trzeba brać życie!.. Bez marzeń... Bez „ofiar”, zachwyków, cikliwości... I bez tych — Smoleńsków, brygad żelaznych... Zamyślił się... — A ta... brygada... Kto nią dowodzi?..

— Jakiś Haller, pułkownik...

— Cóż to za gość?..

— Nie wiem... Podobno znany...

— Pies kulawy go zna... Tylko ja już czuję pismo nosem... Wiem co to za ananas... Wiem kto to jest...

— Kto?..

— Żyd!... Co pan tak patrzysz? Żyd galicyjski!... Lejba Haller... Drogiasta. W Samborze skład apteczny ma, recepty szelma pitrasi, na skrobankach kokosy robi... A cała ta brygada — Niemcy!... Przysłał Wilhelm Trockiego, teraz macie Hallera!... To szelmowska robota... Piekielna... „Polaki” chcą cara. (Bo ten Haller jakiegoś cara przyciągnie!) „Polaki” idą na Kijów... Awantura! Bolszewicy rzną „niedoriezanych” Polaków. Niemcy w Królestwie oburzeni: „A-a... Moskałom pomagacie? — Dusić!...” I duszą!... Piłsudski na szubienicy. Dowódź wzięty w dwa ognie... Rzeź! Rzeź taka, że...

Co panu jest? Czego pan beczysz?..

— Doktorze, to okropne... Przecież to... przecież... jakże żyć?... Ja

marzyłem... Polska... Co ja jestem? — Nic... Chciałem do wojska polskiego... jako szeregowiec... z karabinem... zginąć... Ja się modliłem całą noc... Myślałem — Haller... Przyszedłem do pana poradzić się...

— Więc czego pan chce, do pieruna? Idź pan do Hallera!

— Kiedy taka prowokacja...

— Kto panu to mówił? Kto? Ja?!

Głupi pan jesteś, że słuchasz mnie!... Głupi pan, że rad idiotycznych słuchasz, — że nudzisz mnie swym jęczeniem!... Ślamazara pan jesteś, baba — tfu! Niema co tak patrzeć na mnie!... Rady pan chcesz? Dam: Każ się pan wypchać i pomalować na zielono!... Będzie okaz!...

— Doktorze!

— Idź pan do diabła ze wszystkimi doktorami razem!... Rady mu się zachciewa!... Rady chce ode mnie! Ode mnie!!! A czy ty wiesz, ośle jeden...

— Doktorze!!!

— Czy ty wiesz, że ja zdechnąć muszę za tydzień — dwa?... Czy ty wiesz, że wszystko, co jest życiem, jest już nie dla mnie! Że żadnego czynu: żadnego, najbłahszego — nie dokonam! Że nienawidzę wszystko, co żyje i żyć nie umie, nie widzi życia... Że chciałbym, żeby wszystko ginęło razem ze mną, żeby wszystko było fałszem i łotrostwem, tylko sny moje... Ty myślisz — marzeń nie miałem? Sił nie czułem?...

Jestem stokroć silniejszy od tysiąca takich, jak pan... Duchem silny, ale ciałem... Zresztą, teraz i duch... Z dziada-pradziada żołnierską mam krew... Marzyłem — w szeregach polskich umrę... Sześć razy do raportu stawałem... do dywizji polskiej chciałem... Nie pozwolili... Na czapce or-

ła białego mieć. Orła polskiego!...
A on — rady szuka, namyśla się!...
Lecieć trzeba — na skrzydłach!... Że-
by sekundy jednej nie zmarnować!
Gdyby ten Haller nawet bandytą był —
nogi mu ucałować! On czyn zwia-
stuje! Walkę! On nową kartę dziejo-
wą otwiera — najwspanialszą może!

Już się polala krew... I znów się po-
leje... święta... ofiar... — zakaszał
się... Pot kroplisty zrosił czoło...
Oddychał z wysiłkiem... Zrobił gry-
mas uśmiechu, odejmując od ust za-
krwawioną chustkę.

— Nie taka krew... Nie taka...

— Doktorze... Dokto-o...



Hallerczycy z Generałem na czele przy Ostrej Bramie
w Wilnie, w siódmą rocznicę bitwy pod Rarańczą

Z SYBERJI

Prochami szeregu pokoleń użyźniana —
druga Ojczyzna—Ziemia Wyklęta —
nienasycona ... zachłanna ...

Daleki kraniec dzikiego Uralu —
Ufa. Lipiec. Bezchmurny błękit. Roz-
żarzone słońce popieli zszarzała, zwa-
żoną zielen brzoź Uszakowskiego par-
ku. Zdławione upałem, przyczało się
życie. Tylko plac tenisowy, w cieniu
drzew zasłonięty, tętni ruchem i walką.
A jednak... Rakiety rzucone bezład-
nie... piłki w biegu zastygły... białe
sylwetki skupione i czujne...

Tennis... Jedyna zbiorowa rozryw-
ka, dozwolana przez władze—wygnań-
com i jeńcom Wojny Światowej.

Gwarno. Słowa lecą... oczy pło-
ną... Chwila wielka, przełomowa —
powstaje—czyn!

— Czesi są zorganizowani dawno.
Idą z Białymi. Łada dzień przekroczą
Ural...

— Nie mamy chwili do stracenia—
to każdy rozumie i czuje — musimy
stworzyć jednostkę bojową, tu—z nas...

— Jakoby w Kazaniu... Orenbur-
gu... Omsku... Irkucku... powstały już
związki strzeleckie...

— Dochodzą wieści... ma przybyć
pełnomocnik gen. Hallera, by objąć
dowództwo i zjednoczyć wszystkie for-
macje wojskowe...

— Miejscowa kolonja nie sprzyja...

— Młodzież z nami — starsi uwie-
rzą, gdy będą wyniki konkretne...

Naturalnym żywiołowym odruchem
powstały na całym obszarze Wschod-
niej Rosji—polskie Związki wojskowe.
Było to koniecznością dziejową,—nie-
odwołalny, niczem nie dający się stłu-
mić nakaz wewnętrzny czynu.

Tak się tworzyły zaczątki V Dy-
wizji Syberyjskiej.

Mgłą otulona, wśród gór ukryta
mieścina — spi... Świt szary bieleje...
Nagle — cisza zmacona — twardy, mia-
rowy tupot idącego szeregu wojska.
Ulice puste, przyczajone i wrogie ma-
łe domki — obojętne, milczące...

Opalową mgłę rozdziera potok lu-
dzi i w blaskach wschodzącego słoń-
ca sunie, hen po rozległym stepie Sa-
marskim... Błyszczą karabiny, szumią
proporce ułańskie i... leci pieśń... Pro-
mienna, wolna, dziwna pieśń...

Idą — utartym, dawnym szlakiem
ojców swoich—ku ziemi, co brała da-
ninę z pokolenia każdego... Idą—pew-
ni, ufni w Zwycięstwo... Idą... ku —
Nieznanemu...

1918 r. Jesień. Wymarsz z Bugurusłanu—miejsca początkowych formacji V Dywizji — na Syberję — w celu objęcia garnizonu miasta Nowo-Nikołajewska—z rozkazu władz Alianckich.

* * *

Długa i żmudna wędrówka... Narazie—Nowo-Nikołajewsk. Niechętnie i zimno przyjęło nas miasto. Kołczakowski garnizon rosyjski podporządkować się musiał dowództwu polskiemu. Gorączkowy okres organizacji na szeroką skalę... Lepsze gmachy zajęto pod sztaby i koszary; sanitarjat, jak zwykle, pozostał na końcu. A praca szła... zawrotnym tempem, sprężysta, pełna poświęcenia, zapału i mocy... Jak w baśni, cudem powstawały kompanie i pułki. Doskonale ubrane, uzbrojone, wyćwiczone, karne, regularne—wojsko. Tylko szpital, nawpół zwinięty, nie opuścił wagonów—nie było odpowiedniego lokalu... ciągle szły pertraktacje...

Naraz... przed samymi świętami Bożego Narodzenia — depesza z Ufimskiego frontu, — gdzie walczył chlubnie I pułk V Dywizji, — ranni przybędą...

Zakotłowało się w Dowództwie. Szpital Dywizyjny stał się koniecznością. Niestety, jedyny gmach odpowiedni — koszary II pułku.

Ustąpiono. A w kilka dni — Isnił budynek dawnej szkoły. Opatrunkowe, operacyjne, wzorowo urządzone sale — czekały na przybycie. Tylko — kuchni nie było... połowa jedynie... A Święta nadchodziły, pierwsze Święta wojska Polskiego. Pamiętaliśmy o tem...

.....

Długi stół wigilijny... Korytarz z zieleni... Na ścianach obrazki naprędce kreślone: wieś polska o zmroku, ułan gwarzy z dziewczyną, krzyż na

drogach rozstajnych... a górują — olbrzymie skrzydła Orła Białego...

Tradycyjny barszcz, ryby, niezbędne łakocie — i choinka się pali... gwiazdka jasno migoce... Wokoło, w skupieniu i ciszy, stoją — wybladli... zmęczeni — Przybyli.

— Tu... na ziemi, przesiąkniętej krwią i potem naszych dziadów—pradziadów, gdzie ongiś jedyną mową polską był brzęk kajdanów i jęk niewoli—my przełamaliśmy nasz wigilijny opłatek po raz pierwszy jako Naród wolny — synowie ziemi Niepodległej, — z myślą o tych, co przez długi szereg pokoleń ginęli tu — w beznadzieji... z myślą... o kraju ojczystym... dalekim... i wiarą — że ta Gwiazda da nam Moc wytrwania i ufność w Jutro promienne, które nas czeka...

I drgnęli wszyscy... Łkały skrzypce dźwiękiem kolęd ojczystych... to skarga i... tęsknota... biegła... poprzez tajgi syberyjskie na Zachód... Grał ciemnowłosy góral z Podkarpacia...

.....
Nie wstyd nam było łez... Płacze się tak — raz w życiu tylko...

* * *

...A na tle przezroczystego niebios błękitu — powiewają sztandary... Goreje amarant w promieniach słonecznych... Oślepiająca biel iskrzącego śniegu... mroźne, ostre powietrze... Szeroką falą płyną dźwięki orkiestry wojskowej... Tłumy...

Na placu miejskim, w obecności generalicji rosyjskiej, czeskiego dowództwa, przedstawicieli miasta, prawosławnego i muzułmańskiego duchowieństwa — Dowódca Wojsk Polskich — przyjmuje defiladę.

To obchód powstania styczniowego. W uprzejmym uśmiechu zastygły

twarży obcych dygnitarzy... Błyszczą w słońcu stalowe hełmy marsowych szturmaków; zwartym szeregiem maszeruje piechota, nie drgnie, nie zmyli... Tętni artylerja — i mkną szwadrony... jeżdżą się lance — furczą proporce... Po Ziemi Niewoli leci wieść — echem dalekiem... dziwna wieść — oto sen stał się jawą — na mogiłach i krzyżach... Na miejscu ponurej, beznadziejnej rozpaczy swoi i obcy — oddają hołd — pamięci tych — co tu ongiś ginęli...

* * *

Jedyną syberyjską linią kolejową ciągną się na Wschód eszelony Wojsk Sprzymierzonych... Dywizja Polska na końcu — broni odwrotu. Wślad... z Zachodu... sunie chmura ponura i groźna — wojsk bolszewickich. Kolej w naszym jest ręku — lecz wsie i miasta wokoło przyczajone... gotowe do skoku, a wojska Kołczaka chwiejne... niepewne... Ze stacji Tajga posunięto czołówkę i — nagle... grad kul... stłumiony huk wystrzałów... Bitwa... To kołczakowskie oddziały przeszły do bolszewików i zdradliwie napadły na polski eszelon. Wre walka wśród wagonów... na stacji... Swoi i obcy... zmieszani... Siły nierówne... a jednak wróg pierzcha... Brną rozbitki zwycięskie wśród zasp śniegowych... niosą rannych — a broń trzyma każdy...

Pamiętam tych dwoje: — w śnieg zapadając, kobieta, obładowana dwiema strzelbami, ciągnie karabin maszynowy, — mąż — szeregowiec co chwila przystaje i strzela... hen, poza siebie...

To było 24 grudnia 1919 r. — dzień drugiej Wilji Wojsk Polskich na Syberji.

* * *

Nieskończona śnieżna równina, przerażająca i straszna. gdzieś ginie w bezmiernej dali... Nieruchome, zastygłe wagony, mymarle, ciche, bezduszne — żałobną wstęgą przecinają biel śniegów — to eszelony V-tej Dywizji... Ciszsza głucha, gnębiąca... Rozpaczą i zgrozą tchnie syberyjska równina...

Za nami — wróg, przed nami — wróg... Na północ, na południe — bezmiar lodowy... Jak proch, jak pył — rzucana w bezbrzeżnem pustkowiu garstka ludzi — zmiażdżonych, bezsilnych, pokonanych przemocą potwornej przestrzemi...

* * *

Purpurowo złocista jesień... Słońce zimne, dalekie. Granica bolszewicko-japońska... Szarpiący niepokój ściganego zwierza... Pod stopami szmer liści. Dal sina, bezbrzeżna — cel — Wyzwolenie...

A tam... poza nami — tajemnica milcząca — hańby niewoli, wysiłków daremnych... lotów wichrowych... bezgranicznych poświęceń...

I naraz... jasnem się stało...

Wolność — nie czyni jeszcze wolnymi.

Tylko duch wyzwolony — przyjąć wolność potrafi.

Tylko duch wyzwolony — zwycięża.

Tak — być musiało, Wolni — Nie-wolnicy.

ODWRÓT

FRAGMENTY

Dobropole.

Ostatnie promienie sierpniowego słońca przygasały już na wierzchołkach dziewiczego lasu bukowego, chaotycznie postrzępionego wybuchami ciężkich pocisków. Szarpiący niepokój—czwarta już zrzędu patrol wysłana nie wraca... Od kilkunastu godzin usiłujemy nawiązać połączenie. Jedyna droga, wiodąca poprzez gęstwinę zwalonych olbrzymów leśnych, wijąca się wzdłuż zbocza góry Kozjak, a przez niemieckie wojska nazwaną „Präsentierteller”, dziś przedstawia się jak jedno ciągłe pasmo tumanów z wzbitego dymu, kurzu, odłamków skał oraz brył powyrywanej, wilgotnej darni. Już od czterech dni jesteśmy zupełnie odciętą wysepką, oddaną na pastwę piekielnego ognia huraganowego. Rozpalone, dyszące rozszalałem pragnieniem zniweczenia, paszcze różnokalibrowych dział przeciwnika sieją śmiertelne swoje pociski, niby żrący jad rozwścieczonych smoków. Ziemia dudni, kołysze się; powietrze wyje. Huk, trzask, zjadliwy poswist rozpryskujących się odłamków, zboląły jęk roztrzaskanych konarów, gryzący dym spalonego prochu, zmieszany z rozpyloną ziemią, a wśród te-

go piekła zgiełkliwe rozkazy, wydawane ochrypłym głosem. Niema innego wyjścia. Próbuję sam zejść i przekroczyć jar, dzielący nas od zaplecza frontu, by nawiązać łączność. Nie poznaję już drogi, idę naoslep, co chwila wpadając w jakiś wądoł. Z trudem i móżolem zaczynam wspinać się po przeciwległej ścianie skalistego urwiska, raz po raz chyląc się przed padającymi naokoło pociskami. Natrafiam na druty telefoniczne, widzę strzepy tylko. Idę dalej. Obok drutów leżą zastygłe zwłoki żołnierzy jednej z wysłanych patroli. Kroczę dalej...—Od tamtych niema ani śladu. Wtem nagle zapanowała cisza, słyszę tylko głuchy łoskot w głowie, odczuwam nagły brak tchu i dziwny niepokój. Spoglądam wstecz. Cóż to znaczy? Zwinny „Spad” z zawrotną szybkością uwija się ponad naszymi liniami. Zatacza koło o jakieś 3 sążnie tuż nad moją głową, zdawałoby się, że uderzy o szczyt góry; słyszę suchy trzask karabinu maszynowego i spostrzegam smugi czarnego dymu, owe rytmiczne symbole niemego porozumienia się...

Front na całej linii naszego odcinka, jak daleko moje oko sięga, chwieje się, załamuje... Nadeszła chwila

krwawego rozstrzygnięcia, chwila wytęskniona... Nerwy, naprężone w skurczu bolesnego stępienia, odprężają się. Dziwne jest to zaiste w takiej oto chwili tytanicznych zapasów. Oszalamia mnie widok szczerzej pracy ludzkiej. Jest to widok niesłychanej zgrozy. Krwawe języki ogniomiotaczy francusko-angielsko-serbskiej Koalicji dokonywują tu pracy cichej, lecz strasznej. Rozkopane i niezliczonymi granatami do niepoznania rozryte wzgórze małego Kozjaku zaroilo się. Opodal widzę dokładnie jak pełzną jakieś ciała z jaszczurczą chyżością wzdłuż stoku, dzierżąc aparaty z jadem trującej substancji chemicznej, owym potwornym wymysłem geniuszu ludzkiego. Miserere Domine. Ogniste łuki, krzyżując się z przytłumionym sykiem, tam gdzie się stykają z materją—palą, niweczą, wyjadają. Ciało ludzkie kurczy się i czerwienieje... Taki niesamowity widok miałem już raz jeden. Wtedy to szturmowano po raz piąty w owym dniu wyżynę „1050”. Tam już nie było ani śladu z okopów. Obrońca i szturmujący razem wgrzebywali się w rozprutą ziemię, gotując sobie jednocześnie przygodne miejsce wiecznego spoczynku...

„Kakoj półk?” — pytam oficera nadchodzącej rezerwy bułgarskiej. — „Dwajsty szesty — napred, momcy” — była odpowiedź, jakby zwrócona wyłącznie do szarej masy gotujących się do ataku. Spuszczam się w dół, nawpół koziółkując, nawpół zjeżdżając z karłomną szybkością po wąskiej serpentynie stoku. Znowu jakieś ciało ludzkie—druga patrol... Czy zdążę do dział?... Nacierają już z ręcznymi granatami. Artylerja zupełnie ucichła, nie słysząc żadnego strzału karabinowego. Zdyszany, z palącym bólem w krtani

i piersiach, dobijam do pozycji. Tu działa, już ostygłe z braku amunicji, zostały zdemontowane, zamki powyrywano, potłuczono... Niema już czego ratować... konie w drodze pozabijano. Niema też i wyjścia żadnego, ani drogi... Piechurzy małemi oddziałami, częściowo bez karabinów i nakrycia, usiłują przedostać się w tył. Nikt ich nie zatrzymuje. Na ich twarzach, pokrytych grubą warstwą kurzu, zmieszanego z potem, maluje się osłupienie. Świeża fala rezerwy, rzucona w tyraljery, usiłuje podskokami powstrzymać napór szturmujących. Zbici w małe grupki, z wściekłością odpierają bagnetem rozjuszonego wroga. Zbieram, co mi się wydaje najważniejszym,—instrumenty, buty, parę książek, lornetkę. Bezbronna obsługa naszej baterji gorączkowo opuszcza pozycję straconą.

St. Panteleimon.

Jesteśmy jakby w kleszczach. Już od świtu kilka godzin maszerujemy w luźnym szyku. Słońce praży i kole, wywołując tępy ból w ołowianej głowie. Przed nami nieustanne, krótkie złośliwe błyski z poza skał traktu górskiego. To górska artylerja niemiecka, która się cofa w miarę, jak my zdążamy naprzód. Za nami warjackie grzmocenie z lekkich działek przeciwnika. Jesteśmy jak w błędnym kole, albowiem nie możemy się wydostać z pośród ruchomej platformy tego pojedynku. — Ach, nareszcie st. Panteleimon. Tu osadziła się baterja ciężkich dział. Panteleimon — tajemniczy przybytek starocerkiewnego obrzędu, niedostępne gniazdo jaskółcze w skale wykute. Ilekroć przejeżdżałem obok tego klasztoru, zawsze ogarniało mnie jakieś dziwne uczucie smętnego ukojenia i trwożliwej ciekawości. Wyblakłe

z ożłocenia litery starosłowiańskiej kyrylicy nad bramą oraz mozaika wizerunków świętych przemawiały teraz tajemniczo w pełnym blasku słońca. Opodal pasmo krętej drogi górskiej, zatarasowanej nieskończonym korowodem cofających się taborów. Tu wyczuwam jakąś katastrofę. Jakoś śpiesznie zwija się owa ciężka baterja. Błyski z przeciwnej strony potężnieją. Wtem nagle z poza szczytu wyżyny zjawia się samolot, jeden, drugi, czwarty... obniżają się, jak gdyby byk, który zmierza twardym łbem do śmiertelnego ciosu. Ha, jak nisko. Do sięgnąłbyś ich skrzydeł. Słyszać suche, błyskawiczne trzaskanie karabinów maszynowych i wyjący ryk motorów ponad falą dyszących ciał ludzi i koni. Skłębione masy zgiełkliwe pierzchają, to tuląc się do stromej ściany stoku, to kurcząc się pod furgony...

Dzieją się rzeczy straszne. Na jedynym szlaku wąskiej skalistej drogi górskiej, jak daleko oko sięgnie, zbite masy cofających się wojsk. Samoloty, przebywszy krótki dystans w prostej linii, zwracają z poza wierzchołka wyżyny, by nagle zjawić się znowu. Powstaje niesłychana panika. Nagłość przelotu i obniżenie samolotów są tak wielkie, że niema sposobu ostrzeliwania ich. Raz po raz powtarza się kośba śmierci. Konie w śmiertelnym przerażeniu, z wydętymi nozdrzami, w nagłych podskokach usiłują wyrwać się z zaprzęgów. Droga jest zasiana wiążącymi się ciałami ludzi i koni. Nawet kury, przelatując w panicznym strachu przez drogę wioseczki, którą mijamy, giną od odłamków ręcznych granatów, rzucanych z aparatów...

Ostrowawoda.

Tak już trzeci dzień jesteśmy ciągle w marszu, ścigani przez natarczywego zwycięzcę. Noc tylko względnie spokojna, lecz gdy pierwszy brzask na niebie się ukazuje, znękana zwierzyna ludzka na nowo się płoszy... Rozstałem się dopiero co z moimi Bułgarami, teraz już tylko garstką ludzi. Podziękowano mi za pracę instruktorską, ale dziękowano mi raczej jako Polakowi. Zżyłem się z tymi bułgarskimi „wojnikami”. — „Wy ste Polak? Hajde z nami do Kraju” — zapraszano, lecz odmówilem. Śpieszyłem do macierzystego pułku, gdzieś wzdłuż ruchomego frontu, by z nim dotułać się do domu — gdzie już miano mnie za zaginionego. Nigdy tak żarliwie nie tęskniłem do życia, jak właśnie teraz, opuszczony i znękany, prawie że konający z nadludzkiego wysiłku. Przyłączam się do kilku maruderów niemieckich, małej grupki rozbitej II-giej Dywizji bułgarskiej.

Melinica.

Razem przybywamy do etapu, skąd śpiesznie wyjeżdżają ostatnie furgony oraz wozy szpitalne. Pozostały tylko gospoda wojskowa oraz opustoszały szpital, z którego właśnie wynoszą zastygłych, by ich pogrzebać w szerokim polu. Jednemu z nich wypada coś błyszczącego z kieszeni, podnoszę i zdmucham kurz: są to składane nożyczki, które machinalnie chowam do kieszeni...

Zebraliśmy się w gospodzie, by nieco zaspokoić głód i pałace pragnienie oraz przestudjować mapę. Jest nas około trzydziestu: kilku oficerów, podoficerów oraz szeregowych z arty-

lerji i technicznych oddziałów. Tuż koło drzwi znajduje się droga, po której właśnie dudnią cofające się tabory, wóz za wozem; niektóre z nich ciągnięte są przez leniwe woły. Wtem daje się słyszeć śpiewny charkot motorów, po którym wprawne ucho poznaje, że są to samoloty nieprzyjacielskie. Krążą one nad etapem, obniżając się w elastycznych spiralach... Zwracamy na nie nasze lornetki... I otóż wyraźnie widzimy, jak z błyskawiczną szybkością spada coś na nas. Zrobiło się cicho, jak w kościele. Instyktownie tulą się wszyscy do pieca, stojącego pośrodku izby, niejedni przysiadając w kuczki. Nastąpiła chwila straszliwego wyczekiwania... Zatrzęsła się ziemia pod oszalamiającym hukiem... Runęła ściana, przywalając najbliższych sypkim gruzem. A teraz następuje eksplozja po eksplozji, rozdzierając powietrze z niesłychaną furją. Z obłędnym wyrazem osłupienia na twarzy wybiegamy na dwór. Krew się w żyłach ścina na widok, roztrzaskanych wozów i drgających ciał. Końskie jelita zmieszane z ociekającymi krwią wnętrznościami ciał ludzkich...

Otrzymujemy wiadomość, że między Koalicją a Bułgarami nastąpiło zawieszenie broni... 90,000 wojska i 5 generałów złożyło broń.

Bułgarsko-tureckie wojska wycofują się z całej linii frontu, z pod jezior Dojran, Ochrida, Presba i Demir Kapu. Najdłużej trzyma się pasmo frontu w równinie Bytolijskiej, owej bramie wypadkowej ku Salonikom, kryjącej dziś odwrót rozproszonych po całej długości frontu artylerji oraz technicznych wojsk niemieckich. Wojska niemieckie, których olbrzymia większość stanowiła jedenastą armję, sku-

pione w owej równinie z wyżyną 1050, jako przyczółkiem, znajdują się teraz w rozpaczliwym położeniu...

Dunje.

Przyłączyliśmy wtedy do jednego z licznych oddziałów, wycofujących się po przez pasma gór macedońskich ku granicy bułgarsko-tureckiej, ażeby pod ich osłoną wydostać się z labiryntu dzikich gór bałkańskich ku linii kolejowej. Zuchwałe francusko-angielskie eskadry lotnicze skrupulatnie śledziły ruchy poszczególnych oddziałów, krążąc nad nimi niesłychanie nisko. Snać spostrzegły, że znajdują się między niemi grupki wojsk niemieckich, które, korzystając z oddzielnego amnisticum, usiłowały wydostać się z matni, — gdyż pewnego dnia otrzymaliśmy od Bułgarów ultimatum, stawiające nas przed alternatywą, albo wycofania się z ich szeregów, albo udania się do niewoli. Tęsknota za powrotem do domu kazała nam wybrać pierwsze i odłączyć się, aby przedrzeć się na własną rękę w tyły. Miał to być dopiero prolog do tej Odysei, która nas czekała...

Czerna.

Po nadludzkich wysiłkach, obdarci i wycieńczeni, dotarliśmy do linii niemieckich. Z febrą na spalonych ustach, wiedziony jakimś dziwnym instyktem, znalazłem się pewnej ciemnej nocy w macierzystej baterji, z którą przed kilkunastu miesiącami byłem wyruszył z piekła frontu zachodniego. Zostałem już wszystko gotowe do odmarszu; konie do dział zaprzężone. A więc w sam czas. Wyczerpany z resztek

sił, chciwie piję podane mi wino. Potem, nie wiem jak, znalazłem się na wozie, wysłanym miętko sianem. W malignie trzęsącej mię febry malarycznej, widzę tylko na horyzoncie lu-

ny palących się wiosek i etapów. Naokoło tonie wszystko w płomieniach, spotęgowanych nagłem olśniewającym błysnięciem... Fale duszącego dymu oślepiają cofające się wojska...



WOJSKO A SPORT

Tytuł nie bardzo zachęcający!

Po pierwsze dlatego, że za bardzo już przypomina nieśmiertelne: „Słoń a kwestja polska”; a po drugie dlatego, że na temat ten, rozmaicie odmienniany: „sport w wojsku”, „wojsko w sporcie”, „zmilitaryzowanie sportu”, „usportowienie armji” i t. d. i t. d. wylano całe hektolitry atramentu i zużyto całe wagony papieru; lecz pocieszam się, że nietylko u nas!

Jednakże temat ten zawsze będzie żywotny, zawsze będzie miał podstawy do dyskusji i zawsze będzie wymagał wszechstronnego oświecenia!

Bo chociaż sport bez wojska może się obejść, jak również, zresztą, wojsko bez sportu, to jednakże dwa te pojęcia tak znakomicie się uzupełniają, tak blisko stoją obok siebie, tak bardzo przyzwyczailiśmy się widzieć prawie w każdym wojskowym sportowca, a w każdym sportowcu przynajmniej „rycerskiego” człowieka, że zestawienie tych dwóch pojęć nie zdziwi nikogo.

Bo zważmy wszak.

Sport daje swym zwolennikom między innemi: energję, wiarę we własne siły, wytrzymałość, silną wolę, zimną krew, odwagę, poświęcenie i t. d. i t. d.

czyż nie są to wszystko rysy charakteru nieodzowne wprost dla wojskowego?

To samo odwrotnie: karność, punktualność, odpowiedzialność za swe czyny — rysy typowo wojskowe, czyż nie przydadzą się również i czynnemu sportowcowi?

Wojskowość zrozumiała to już dawno i nietylko wprowadziła sport, jako bardzo ważny czynnik wychowania żołnierza, stawiając wychowanie sportowe niemal, że na pierwszym miejscu, i ze wszech sił pomagając sportowi cywilnemu, ale nawet, z rozmachem — właściwym wojskowemu — wkracza w ten ruch wśród społeczeństwa i staje się ruchem tego najżywotniejszym motorem.

Idea uprawiania sportu czynnego, która tak żywiołowo zainteresowała po wojnie cały świat, nie mniej żywiołowo ogarnęła nasze czynniki wojskowe.

U nas, w Wilnie, wyraziło się to w intensywnej pracy organizacyjnej, której najważniejszymi i najbardziej fanatycznymi zwolennikami byli w 1921 r. (początek ruchu sportowego w Wilnie) kpt. Bobrowski i por. T. Kawalec.

Zorganizowany przez nich Centralny Związek Polskich Towarzystw Sportowych Wileńszczyzny, działający na

terenie b. Litwy Środkowej i jednocześnie rozszerzający swą działalność również i na oddziały D-twa Grupy Bieniakonie, był w swoim czasie jedyną magistralą sportową, najwyższą instancją, organizatorem klubów, zawodów, nawet prasy.



Związkiem tym właściwie było tylko dwóch wyżej wymienionych oficerów. Oni poświęcili się idei sportu całkowicie i bez zastrzeżeń, ich też jest zasługą, że sport zajął wreszcie należne sobie stanowisko wśród społeczeństwa wileńskiego.

Nie sposób też pominąć ówczesnej działalności prasy wileńskiej, której fanatycznymi pracownikami w dziedzinie sportu był por. Laudyn i niżej podpisany, chociaż już wtedy nie wojskowy, lecz w rezerwie.

Walna działalność sportowa wojskowych po wcieleniu b. Litwy Środkowej do Polski—to działalność na terenie poszczególnych klubów.

Zjawiają się wówczas nowi fanatycy sportu por. Waligóra i por. Daniec.

Trudno byłoby zresztą wymieniać wszystkich wojskowych, którzy działali na tym terenie. Lista ich samych, bez omawiania nawet działalności, zajęłaby zbyt dużo miejsca. Dość powiedzieć, że było ich dużo, nawet bardzo dużo i trudno byłoby znaleźć klub sporto-

wy w Wilnie, w którym najważniejszym motorem nie byłiby wojskowi; chyba tylko jeden Akademicki Związek Sportowy, a i to działalność klubu tego była względnie dość silnie spójna z działalnością kpt. Bobrowskiego.

Nie sposób jednakże pominąć działalności płk. Kozickiego, D-cy 6 p. p. Leg. i całego korpusu oficerskiego tego pułku, gdyż wynikiem ich pracy było Boisko sportowe 6 p. p. Leg., wybudowane wśród gór Wileńskich, nie mające równego sobie w Polsce pod względem piękności położenia, rozmachu, z jakim było budowane, i ogromu pracy, jaki w budowę włożono. Boisko to nie tylko z powyższych względów godne jest uwagi, ale i dlatego, że pod względem czysto sportowym nic mu zarzucić nie można.

Wogóle co do prac „budowlanych” wojska, to wyników tego mamy sporo w Wilnie: trzy boiska piłki nożnej, a w przyszłości i lekkoatletyczne (jedno już służy i lekkiej atletyce), dwie przystanie wioślarskie, strzelnica, tor



wyścigowy na Pośpieszce, i skocznia narciarska do spółki z A. Z. S., zdaje się, że jak na działalność zaledwie czteroletnią, to aż nadto wystarczające — nawet dla wojska, którego rozmach jest już przysłowiowy.

Powracając jednak do działalności

wojskowych na terenie poszczególnych klubów, nie może nie uderzyć fakt, iż z chwilą wycofania się ich z życia danego klubu praca tam zamiera, a w najlepszym razie słabnie.

Znakomitym tego dowodem są dzieje K. S. Sokół, zorganizowanego przez por. T. Kawalca (proszę nie sądzić, że T. S. Wilja jest prawym potomkiem powyższego klubu; istnieje wprowadzenie tej tradycja, ale nie zupełnie zgodna z prawdą).

Klub ten powstał w 1921 r. Po wyjeździe por. T. Kawalca działalność Klubu zamarła, aby odżyć po jego powrocie w 1922 r. i znowu, po wyjeździe głównego motoru, klub zamiera; jeszcze raz jeden niezmordowany fanatyk zdołał tchnąć życia w tę organizację, lecz po decydującym jego wyjeździe klub (pod nazwą K. S. Sparta) zamarł i wreszcie rozwiązał się.

Rzeczywiście, wojskowi mogą dużo zrobić i dużo robią, lecz trzeba przyznać ze smutkiem, iż z chwilą przejścia do rezerwy działalność, nawet bardzo żywa i, zdawałoby się, naprawdę fanatyczna, kończy się. Dlaczego? Nie wiem doprawdy!

Ciekawe jest to i z innego względu, a mianowicie: prosty szeregowiec—

niewykształcony, po powrocie z wojska np. na wieś nietylko nie przerywa czynnego uprawiania sportu, lecz staje się organizatorem i propagatorem tego ruchu wśród najbliższych; inteligent przeciwnie, gdy sam uprawiał sport, uprawia go i w „cywilu”, choć najczęściej nie tak intensywnie, organizator—po przejściu do rezerwy wycofuje się z tego ruchu najzupełniej; pozostają zaledwie nieliczne jednostki.

Co jest powodem tego?

Rozważania na ten temat zaprowadziłyby nas zbyt daleko, to też ograniczę się jedynie do stwierdzenia tego faktu.

Sądzę, że jednak należałoby temu przeciwdziałać. Nie możemy tracić materiału już wyrobionego, niepotrzebnego „wychowania sportowego” (zastrzegam się, że nie „fizycznego”).

Ostatecznie zaczynanie stale od początku, od wpajania w społeczeństwo pierwszych zasad sportu, kształcenie go w sportowym myśleniu poto jedynie, aby przy zmienionych warunkach życiowych dany osobnik zrzucał z siebie cały nabyty talent jako „niepotrzebny”—to doprawdy praca Syzyfowa!

Konieczne jest zwrócenie na to uwagi i przeciwdziałanie temu.



OSADNICTWO WOJSKOWE WILEŃSZCZYZNY

Żołnierz, który umiał Polskę wywalczyć, jest elementem, na którym można śmiało oprzeć odrodzenie Polski wyzwolonej, niech idzie tam, gdzie tętno życia gospodarczego i społecznego jest najsłabsze i niech naszą twórczą kulturę niesie.

Mniej więcej taka myśl powołała do życia osadnictwo. Prosto z szeregów, z plecakiem za ramionami, nie zajeżdżając często nawet do rodziny, szedł żołnierz na zarośnięte brzoźkami ugory, których od początku wojny ręka ludzka nie tknęła, i brał w posiadanie ziemię, którą obronił przed nawałą wrogów, po której wiatr jeno hulał. Szczęśliwi ci, co dostali budynki, ależ to przecież wyjątki. 90% osadników budynków nie dostała, a mieszkali, jak się to u nas popularnie nazywa, pod „parasolem”.

Zakopaliśmy się w ziemię. Był to jedyny warsztat pracy, który dla wielu z nas pozostał. „Posady” pożyczowali „fachowcy”, niestety, często tacy, którzy fachowcami zostawali wtedy, gdy my żywą granicę Polski wyrąbaliśmy, a oni zawodowo na tyłach siedzieli.

Sądziliśmy, że nikt nam doli nie pozazdrości. Złudzenie. Wieleż napaś-

ci od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy posypało się na naszą głowę. Siedzieli wygodnie w gabinetach, nikt nie widział rzeczywistej doli osadników na działce, a każdy w niego walił, jak mógł i umiał. Dlaczego? Bo osadnicy nie szli na żadne podwórko partyjne. Zamknęli się w sobie, zacisnęli zęby i trwali. I dziś z radością możemy to podkreślić, szczęśliwie przetrwali. Ani dziwni „obrońcy polskości” na kresach — ziemianie (sprzedają ziemię każdemu, kto tylko ma dolary), ani krajowcy, ani mniejszości narodowe, ani podobno łaknący ziemi włościanie — osadników z miejsca nie ruszyli. Zapytacie się, a wiele to milionów złotych dał rząd na pomoc dla osadników — niesłusznie narzekacie. Nie narzekamy, wdzięczności od społeczeństwa nie spodziewaliśmy, bo do niej jeszcze nasze społeczeństwo jest niezdolne. Ale w czasach inflacji, gdy rząd prawie wyłącznie państwowymi pieniędzmi odbudował tylko de nomine polski przemysł, mógł i powinien był przyjść nam z wydatniejszą pomocą kredytową na odbudowanie gospodarstw. Chętniebyśmy się byli zgodzili na pełną waloryzację, a tylko żądalibyśmy długoterminowej spłaty.

Tymczasem dawano nam kapanię po 50.000 mk., czasem trochę więcej lub mniej. W 1923 r. kapnięto po 400.000 mk., co się mniej więcej równało 240 zł. i znów stanęło. Wielu poza tą własnie pożyczką nic więcej nie dostało. Dzisiaj maksymalna pożyczka rządowa dochodzi do 1250 zł. na osadnika, wliczając do tego już poprzednio uzyskane pożyczki. Ponadto każdy osadnik powinien był otrzymać 80 m³ surowego okrągłego drzewa na budulec, lub 800 zł. zapomogi bezzwrotnej. Jakież to wielkie było pole do szyskan, a nawet często nadużyć. Choć las rządowy miał osadnik pod bokiem, wyznaczano mu drzewo do cięcia w lesie, odległym o 20—30 wiorst od jego osady. Obrona była trudna, gdyż zawsze się mało liczą z człowiekiem słabym ekonomicznie. Szczególnie u nas na Wileńszczyźnie, gdzie w stosunku do osadnictwa niema ujednolajonego prawodawstwa. Ustawa o osadnictwie z dn. 17/XII 1920 obowiązuje tylko w powiatach: Dziśnieńskim, Duniłowickim, i Wilejskim, w pozostałych obowiązują dekrety gen. L. Żeligowskiego.

Po zorganizowaniu się dopiero w Powiatowe i Centralny Związek Osadników staliśmy się czynnikami, który mógł cokolwiek zaważyć. Program nasz sprowadzał się do rzeczy następujących: Okrzepnąć ekonomicznie, aby później wyjść do pracy ekonomiczno-społecznej na terenie wsi, planowo i celowo tę pracę zorganizować, ale to się da urzeczywistnić tylko przez karną organizację samego osadnictwa.

Dziś w Związkach osadniczych na terenie Wileńszczyzny mamy ponad 1000 osadników wojsk., z tego zdecydowana większość to osadnicy z powiatów, gdzie obowiązuje ustawa z dn.

17-XII 20 r. W powiatach b. Litwy Środkowej i pow. Brasławskim osadnictwo wojskowe jest znikome. Na Wołyniu poszczególne powiaty posiadają więcej osadników, niż my na terenie całego województwa. Należy to położyć na karb tych urzędów, które tę akcję prowadziły, zbyt hojnie udzielając pozwoleń na prywatną parcelację.

Pomimo więc stosunkowo słabej liczebności, a stąd i bardziej ograniczonych możliwości, osadnicy i na terenie woj. Wileńskiego wyszli już poza ramy własnej wewnętrznej pracy. Z różnych możliwości wybraliśmy trzy główne placówki, które postanowiliśmy poprzeć, a mianowicie: a) *kółka rolnicze*, jako placówkę fachowo i oświatowo-rolniczą, teren doskonałej współpracy z miejscową ludnością, b) *kasy współdzielcze*, jako instytucje kredytu dla rolnika, c) *spółdzielnie rolniczo-handlowe*, jako teren sprzedaży i zakupu płodów rolnych, narzędzi i nawozów. Wiele z tych instytucji stworzyliśmy własnym wysiłkiem, do wielu wnieśliśmy życie, wszędzie też posiadamy poważne wpływy. Miejscowa ludność poczuła, że nie idziemy z obietnicami, lecz z realną pracą, nie siemy rzeczywistą korzyść dla każdego, kto chce z nami współpracować.

Zaufanie do nas rośnie coraz bardziej z dnia na dzień, a agitacja przeciw nam coraz mniej popłaca. Na ugorach dziś chodzą pługi, na pustkowiu stoją chaty i stodoły. Aczkolwiek większość ich nie różni się od zabudowań miejscowych włościan, ale to, śmiemy twierdzić, nie nasza wina, jeno tych słabych środków, które nie pozwoliły nam się wzorowo rozbudować. Jeszcze dużo trzeba będzie zrobić, zanim nasze działki znajdą się w stanie

kwitnącym, dziś bowiem cały dorobek pakujemy w budynki, ale i do tego napewno dojdzie, bo osadnik jest bardzo podatnym elementem na zdobycze postępu rodzinnego.

Nie wszyscy osadnicy przynoszą nam zaszczyt, przyznajemy, że i wśród nas można znaleźć typy nieodpowiednie, ale to bardzo mała ilość.

Nikt jednak chyba nie jest tak zainteresowany, jak my sami, w usunięciu tego elementu, co ze smutkiem znów musimy podkreślić, na terenie b. Litwy Środkowej w wielu wypadkach, ze względów prawnych, jest niemożliwe do osiągnięcia. Po 3 letniej ciężkiej pracy napaści na nas musiały ustać. Ona nas obroniła wtedy, gdy odżegnywały się od nas wszystkie stronnictwa.

W naszych szeregach nie rozróżnia się ludzi ze względu na pochodzenie z różnych formacji wojskowych, wysuwają się ci, którzy mogą się poszczycić największym dorobkiem i doświadczeniem w pracy. Ostatnio w Wilnie zorganizowaliśmy Radę Wojewódzką Osadników Ziemi Wileńskiej, jako organizację wojewódzką.

Oficer rezerwy, tak jak w wojsku

był dowódcą, tak i tu był przewodnikiem i inicjatorem większości prac. Na czele wszystkich prawie powiatowych związków osadników stoją oficerowie rezerwy. Razem z żołnierzami dzielili dołę i niedolę życia osadniczego, lepiłi własnymi rękami sobie chaty, gnój na pola wozili, dawali dobry przykład, nic więc dziwnego, że zdobyli sobie moralny kredyt.

Na zakończenie kilka słów już z poza Wileńszczyzny. Na ostatnim walnym zjeździe osadników w Warszawie z naciskiem żądaliśmy dalszej akcji osadniczej, zdając sobie naprawdę jedynie dokładnie sprawę z konieczności i z potrzeby rozszerzenia dotychczasowej akcji osadniczej. Darmochy nie chcemy, dajcie nam ziemię odpłatnie na odpowiednich warunkach, ale nie mówcie, że my tylko dlatego, żeśmy byli żołnierzami, nie mamy prawa do ziemi. Kto tak, jak my, karczował ziemię, kto mimo tylu trudności i grózb wytrwał, kto się nie boi budować na samej granicy, ten chyba zasłużył sobie przynajmniej na szacunek społeczeństwa, ten tu Polskę buduje.





Grupa oficerów rezerwy—uczestników zjazdu w dniu 27 czerwca r. 1925

ZWIĄZEK OFICERÓW REZERWY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

OKRĄG WILEŃSKI

Próba utworzenia w Wilnie Związku Oficerów Rezerwy powstała jeszcze w r. 1922, wywołana masową naówczas demobilizacją.

Próby tej podjęła się pewna grupa oficerów rezerwy z p. kpt. rez. St. Stokiem na czele, skupiająca się w „Zrzeszeniu Pracy” — jednej z placówek ekonomicznych b. wojskowych w Wilnie.

Jednakowoż szerszy ogół oficerów zdemobilizowanych nazbyt zaprzątnięty był osobistymi sprawami—i, w gorączkowym poszukiwaniu pracy, nie okazywał szczególnej chęci należenia do organizacji, nie rokującej doraźnej pomocy w wytworzonej sytuacji.

To też Zjazd Oficerów Rezerwy, który się odbył w dniu 20 sierpnia 1922 r. w Wilnie, nie był liczny i przebrzmiał bez rozgłosu, mimo swego wysokiego poziomu ideowego. Wyłoniony na nim Zarząd z p. mjr. rez. Wł. Bądyńskiego na czele, jako prezesem, po kilkumiesięcznych zmaganiach się z obojętnością społeczeństwa, oraz z trudnościami w wyszukaniu lokalu, zapadł w martwo...

Dopiero w dniu 27 czerwca 1925 r., z nastaniem normalniejszych nieco warunków życia, staraniem

ad hoc powołanego przez Centralę Związku Komitetu Reorganizacyjnego w składzie tegoż p. mjr. rez. Wł. Bądyńskiego, jako prezesa, oraz członków p. p. F. Andrzejowskiego i K. Szafkowskiego, przy udziale zaproszonego w drodze kooptacji p. J. Zemło, został zwołany powtórnie Zjazd Oficerów Rezerwy z terenu D. O. K. Nr. III, oraz Województwa Nowogródzkiego.

Zjazd ten wypadł nadspodziewanie b. licznie, bo przy udziale z górą 300 oficerów rezerwy, i, co najważniejsza, spotkał się z ogromną życzliwością ze strony władz wojskowych.

Obecni na Zjeździe p. p. gen. Leon Berbecki i płk. Bolesław Popowicz w gorących słowach powitali Zjazd w imieniu p. Ministra Spraw Wojskowych, oraz garnizonu Wileńskiego, i brali następnie najżywszy udział w obradach Zjazdu, czem dobitnie zaznaczyli potrzebę nawiązania jaknajściślejszej więzi między społeczeństwem a jego siłą zbrojną—przez stworzenie między niemi takiego ogniwa, jakim może i powinien być Związek Oficerów Rezerwy.

I słowo przetworzyło się w czyn...

Obrany na Zjeździe Zarząd Okręgowy, dozna-

jąc i nadał czynnego poparcia ze strony władz wojskowych, reprezentowanych przez D-cę Obozu Warownego Wilno p. gen. Olgierda Pożerskiego, znalazł się już w warunkach, umożliwiających pracę nad urzeczywistnieniem zadań Związku.

A zadania te, jakoteż sam teren działalności Związku dla państwowości polskiej są wagi niezmiernej.

Teren bowiem działalności Związku obejmuje całą północno-wschodnią część Rzpltej, stanowiącą prawie dwa Okręgi Korpusowe.

Niemniej jest rozległy i zakres działalności Związku. Podług brzmienia statutu, — poza organizacją, zwykłą w takich wypadkach, zaspokojenia materialnych i kulturalnych potrzeb swych członków, Związek przedewszystkiem ma na celu:

„Utrzymanie jednolitego narodowego Państwa Polskiego, jego niepodległości, całości, potęgi i bezpieczeństwa”.

By temu ogromowi zadań w jakiejś mierze ulżyć, D. O. K. Nr. III niebawem po Zjeździe wydał rozkaz, mający na celu ułatwienie styczności między armią czynną a oficerami rezerwy, a to przez udzielenie Związkowi lokalu przy Kasynie Oficerskiej, przez nawiązanie współpracy z T-wem Wiedzy Wojskowej i Polskim Białym Krzyżem, odbywanie wspólnie ćwiczeń wojskowych i t. p.

Z osiągnięciem tej tak bezcennej współpracy z władzą wojskową Związek Oficerów Rezerwy, jako organizacja cywilno-wojskowa, niewątpliwie, nabiera szczególnego znaczenia i, w opromienieniu swych szczytnych zadań, zarysowuje się, jako potężny z czasem czynnik społeczno-państwowy Odrodzonej Polski na Jej historycznym Szlaku Batorego.

* * *

Tak zreorganizowany Związek Oficerów Rezerwy na wstępie obrat p. mjr. rez. Wł. Raczkiewicza, obecnego Ministra Spraw Wewnętrznych, a b. Delegata Rządu w Wilnie, na swego Członka Honorowego.

Zarząd Okręgowy Związku do dnia 28 marca 1926 r., kiedy odbyły się nowe wybory, pozostał niemal w tym samym składzie, w jakim był obrany na Zjeździe w dniu 27 czerwca 1925 r., a mianowicie — prezesa p. mjr. rez. E. Falkowskiego, oraz członków p. p. F. Andrzejowskiego, E. Chelchowskiego, B. Kulesińskiego, A. Pietraszuna, W. Smilgiewicz, K. Szafkowskiego i Z. Turskiego.

Komisja Rewizyjna składała się z prezesa p. mjr. W. Bądryńskiego, oraz członków p. p. W. Charkiewicza i B. Szyszkowskiego.

W dniu 28 marca 1926 r. na pierwszym Walnym Zjeździe Delegatów Związku Okręgu Wileńskiego został obrany nowy Zarząd Okręgowy w składzie: prezesa p. por. T. Bobińskiego, oraz członków p. p. J. Aleksandrowicza, F. Andrzejowskiego, A. Pietraszuna, W. Perkowskiego, J. Rochowicza, K. Szafkowskiego i Z. Turskiego, do Komisji zaś Rewizyj-

nej weszli p. p. W. Bądryński, W. Charkiewicz i S. Mydlarz.

W ciągu swej 9 miesięcznej egzystencji poprzedni Zarząd Okręgowy odbył 25 posiedzeń, poświęconych przeważnie sprawom organizacyjnym.

W tym okresie, a w jednym wypadku nawet wcześniej, powstało w Wilnie i na prowincji 9 Kół, a mianowicie: dn. 5.III 1925 r. w Lidzie (prezes p. por. rez. Al. Żeligowski), dn. 20.IX 1925 r. w Suwałkach (prezes p. gen. bryg. rez. W. Suchodolski), dn. 11.X 1925 r. w Święcianach (prezes p. por. rez. Z. Mieszkowski), dn. 8.XI 1925 r. w Wilnie (prezes p. por. rez. T. Bobiński, obecnie po wyborach dn. 14.III 1926 r. p. mjr. rez. L. Sumorok), dn. 8.XI 1925 r. w Białymstoku (prezes p. mjr. rez. Z. Siemaszko), dn. 1.XII 1925 r. w Brasławiu (prezes p. kpt. rez. R. Siła-Nowicki), dn. 14.I 1926 r. w Grodnie (prezes p. kpt. lek. rez. J. Rupp), dn. 23.I 1926 r. w Głębokiem (prezes p. kpt. rez. O. Stetkiewicz) i dn. 18.II 1926 r. w Wołkowysku (prezes p. mjr. rez. Jałowicki).

Z pomiędzy tych Kół, oczywiście, swą liczebnością i zasobnością, wyróżnia się Koło Wileńskie, zrzeszające około 200 członków.

Zorganizowany przez to Koło w dniu 6 lutego 1926 r. bal, mający na celu utworzenie funduszu zapomogowego, jako pierwsze poważniejsze wystąpienie Związku nazewnątr, siłą rzeczy, stał się o charakterze reprezentacyjnym, dającym wyobrażenie o żywotności i ustosunkowaniu Związku, tem bardziej iż protektorat nad balem objąć raczyli Inspektor Armji p. gen. E. Rydz-Śmigły i Wojewoda p. O. Malinowski.

Poza tem Zarząd Okręgowy, w różnym czasie przy współudziale p. p. płk. B. Popowicza i prof. Muszyńskiego, którym na tem miejscu za ich ofiarną pracę wyrażamy najgłębszą wdzięczność, przeprowadził kilka odczytów i zajęć praktycznych.

Wreszcie, w celach informacyjno-propagandowych, Zarząd Okręgowy, z inicjatywy jednego z członków Komisji Rewizyjnej, podjął się wydawnictwa niniejszej książki p. t. „Na Szlaku Batorego” przez powołanie do tego osobnego Komitetu Redakcyjnego, który w składzie p. mjr. E. Falkowskiego, jako prezesa, i p. por. rez. W. Charkiewicza, jako redaktora, oraz członków p. p. M. Bohdanowicza, B. Kulesińskiego, T. Łopalewskiego, S. Mydlarza, A. Pietraszuna, K. Szafkowskiego i J. Widawskiego doprowadził to dzieło do pomyślnego rezultatu.

Na zakończenie—kilka cyfr z kasowości Zarządu, jako ilustracja stosunku ogółu oficerów rezerwy do swej organizacji, oraz skali jej dotychczasowych potrzeb u góry.

Otóż w ciągu 9 miesięcy, t. j. do dnia 28 marca 1926 r., do kasy wpłynęło ogółem 1.699 zł. 37 gr. (nie licząc pożyczki w sumie 1.000 zł. zaciągniętej na cele wydawnicze), co stanowi 188 zł. 80 gr. miesięcznie, wydano zaś w tymże czasie ogółem 1.597 zł. 20 gr., czyli 177 zł. 40 gr. miesięcznie.

Z temi to zasobami, jak widzimy, b. szczupłymi, Związkowi udało się jednak przetrwać do chwili obecnej i zaryzykować nawet wydaniem książki zbiorowej — w najtrudniejszych warunkach pieniężnych!

Bo też z tem wydawnictwem, jako rewją sił intelektualnych Związku, łączymy nadzieje rozrostu Związku do takiej Organizacji, któraby wszystkich b. wojskowych pod swym przewodem zjednoczyć mogła!

Wstępujemy tedy z otuchą w sercu w nową fazę rozwoju Związku, odkąd wysiłki jednostek ofiarnych ustępują miejsca trwałemu zbiorowemu czynowi.

Odtąd organizacja nasza już naprawdę należy do całego ogółu oficerów rezerwy, zrzeszonego w Związku, który nie zna nad sobą innego sztandaru, jak tylko sztandar Białego Orła!

* * *

Zgłoszony przez naszych delegatów na Zjeździe Lwowskim wniosek o zwołaniu takiegoż Zjazdu w Wilnie wiosną 1926 r. został przyjęty owacyjnie. Oby ten przyszły Zjazd w Wilnie odzwierciedlił stan naszego Związku — jaknajpomyślniejszy...



Delegacje z wieńcami na grób Nieznanego Żołnierza w dniu 9.X.25 r.



Stowarzyszenie Dowódców z Generałem na czele przy grobie powstańców z r. 1863 na Górze Zamkowej w Wilnie

DZIAŁ INFORMACYJNY

Stowarzyszenie Weteranów r. 1863. (Garbarska 5, m. 5).

Stowarzyszenie ma na celu opiekę nad powstańcami, którzy znajdują się przeważnie w b. ciężkiej sytuacji materialnej; gdyż pobierają od rządu zaledwie około 80 zł. miesięcznej emerytury. Z podobnej opieki korzystają i wdowy po powstańcach. Członkami rzeczywistymi są uczestnicy powstania r. 1863, członkiem wspierającym może (i powinien!) być każdy Polak. Składka członkowska wynosi 12 zł. rocznie, wdowy po powstańcach płacą zł. 6. Oddział Wileński ma zarejestrowanych 40 powstańców, z których większa część odznaczona krzyżami walecznych oraz innymi orderami i odznakami honorowymi.

Inicjatorem i pierwszym prezesem Stowarzyszenia był ś. p. Eugenjusz Kowalewski. Zarząd obecny składa się: z prezesa p. Wiktora Wasilewskiego oraz vice-prezesów Henryka Baniewiczza i p. prokuratora Władysława Hołowni (nie powstańca).

Przypodobienie Wojskowe i Wychowanie Fizyczne.

Sprawa przyszłej obrony granic Rzeczypospolitej musi być pierwszorzędną troską, to też przygotowanie szerokich mas ludności polskiej do samoobrony i wyrobienie odpowiedniej tężyzny fizycznej staje się zagadnieniem ogólnie państwowym. Do osiągnięcia tego celu zmierza akcja P. W. i W. F.,

zapoczątkowana przez Rząd Polski. Celem nadania jednolitego kierownictwa akcji powyższej została zorganizowana w Warszawie Naczelna Rada P. W. i W. F., w skład której wchodzi przedstawiciele ministerstw: Spraw Wojskowych, Spraw Wewnętrznych i Oświecenia Publicznego. Analogicznie zostały zorganizowane Rady wojewódzkie, powiatowe i miejskie, na czele których stoją reprezentanci województw, starostw i wojska. Obszar podległy d-cy O. K. III został podzielony na okręgi dywizyjne, a to: 1, 19 i 29 dywizji.

Prace P. W. i W. Fiz. w charakterze instruktorów prowadzą dotąd przeważnie oficerowie i podoficerowie służby czynnej. Jest rzeczą bardzo pożądaną, by oficerowie i podoficerowie rezerwy wzięli w powyższej pracy jaknajwiększy udział.

Koło Wileńskie Towarzystwa Wiedzy Wojskowej (Mickiewicza 13).

Koło Wil. T-wa Wiedzy Wojsk. jednoczy oficerów zarówno służby czynnej, jak i rezerwy dla pogłębiania wiedzy wojskowej i ogólnej wśród korpusu oficerskiego. W pracy swej dzieli się na sekcje fachowe (ogólna, piechoty, artylerji, kawalerji, techniczna, ekonomiczna, prawnicza i t. d.), posiada bibliotekę treści wojskowej i ogólnie - naukowej, liczącą około 2.000 tomów, urządza odczyty plenarne dla wszystkich członków koła i wprowadzonych gości. Przewodniczącym Koła jest p. generał brygady Olgerd Pożerski, d-ca Obszaru Warownego Wilno.

Wojskowa Legja Akademicka (Dominikańska 13).

Celem Legji jest wyszkolenie wojskowe akademików, ułatwiające w przyszłości uzyskanie stopnia oficerskiego. Służba w Legji daje pewne przywileje akademikom, wstępującym do wojska. Legja dzieli się na dwa oddziały: podstawowy—przysposobienia piechoty oraz specjalny (wyższy kurs piechoty, artylerji, kawalerji), który ma dwa stopnie—podoficerski i oficerski. Po ukończeniu każdego kursu odbywają się egzaminy i wydają się odpowiednie poświadczenia.

Obecnie są czynne dwa oddziały: piechoty i artylerji. Praca prowadzi się pod kierownictwem fachowych oficerów, komenda zaś spoczywa w ręku samych akademików.

Komendantem Legji jest p. W. Eysmont, zastępcą — p. W. Bujwid.

Związek Harcerstwa Polskiego. Komenda Chorągwi Wileńskiej.

Ruch harcerski w ostatnich miesiącach znacznie się wzmógł. Powstają, często samorządnie, nowe drużyny przy szkołach i po wsiach, zrzeszając coraz większe zastępy młodzieży polskiej.

Komenda Chorągwi Męskiej (W. Pohulanka, 32) z druhem prof. Wacławem Dziewulskim i dh. Alfredem Niwińskim na czele stara się dopomóc drużynom i w tym celu urządza kursy instruktorskie, organizuje zjazdy i konferencje oraz przeprowadza częste lustracje drużyn, które zrzeszają około 600 chłopców. Ilość drużyn w Wilnie — 10, drugie tyle na prowincji.

Ze względu na wielkie znaczenie wyszkolenia wojskowego znaczna część starszych harcerzy rokrocznie wyjeżdża latem do obozów Przysposobienia Wojskowego, a potem powiększa kursy instruktorskie.

Praca pod każdym względem posuwa się rażno naprzód, otwierając przed młodzieżą coraz szersze i jaśniejsze horyzonty — i zapewniając Ojczyźnie kadry nowych dzielnych obywateli.

Komenda Chorągwi Żeńskiej (Królewska, 4) z dh. Ewą Gulbinową na czele prowadzi intensywną pracę w 7 drużynach w Wilnie oraz w drużynach prowincjonalnych prawie w każdym mieście powiatowem. Po reorganizacji drużyn praca intensywnie się rozwija, dając dobre wyniki. W lecie roku ub. był zorganizowany pod Lidą obóz Chorągwi, w roku bież. przewidywane są cztery obozy oraz w maju — zjazd szarż.

Towarzystwo gimnastyczne „Sokół” — Okrąg Wileński (ul. Wileńska 10).

T-wo Sokół, zachowując dotychczas dawną, raczej konspiracyjną, niż istotną nazwę t-wa gimnastycznego, ma jednak, jak i dawniej, troskę o rozwój fizyczny jednostki tylko za środek, prowadzący do wyrobienia zdrowych fizycznie i moralnie, pogodnych, karnych i pragnących czynu obywateli Rzeczypospolitej.

T-wo Sokół zostało założone w Wilnie w r. 1904 z inicjatywy pp. G. Piotrowskiego, B. Zagrodzkiego i ś. p. W. Szarskiego, którzy nawiązali ścisłą łączność z Sokolem Warszawskim. W r. 1906 zostało T-wo zalegalizowane i zaczęło się rozwijać, grupując w swych szeregach znaczną część ówczesnej

młodzieży polskiej i ciesząc się poparciem i sympatjami całego społeczeństwa. Wojna światowa przerwała działalność Sokola, który znów się zerwał do lotu dopiero w r. 1922. W dobie obecnej Sokół Wileński znacznie rozszerzył swą działalność, mając gniazdo nietylko w Wilnie, lecz w Lidzie, Mołodeczynie, Oszmianie, Postawach i Wilejce-pow. oraz podgniazda w Grauzyszczach i Chożowie. Okrąg wileński Sokola jest częścią Związku Polskiego Sokola, łączącego wszystkie gniazda w Kraju i Ameryce, Związek zaś wchodzi w skład Zjednoczenia Słowiańskich Związków Sokola, zorganizowanego pod hasłem obrony Słowian przed Niemcami, i mającego w swych szeregach przedstawicieli wszystkich narodów słowiańskich. W lipcu r. b. odbędzie się w Pradze Czeskiej wszechsłowiański zlot Sokolów, przy udziale około 200.000 druhów i druhien oraz przy podwójnej liczbie gości; na zlot ten z Wilna wyjedzie delegacja oraz oddział żeński.

Myśląc o przygotowaniu dzielnych obrońców Ojczyzny, Sokół Wileński zorganizował sekcję Przysposobienia Wojskowego, która prowadzi ćwiczenia wojskowe pod kierownictwem oficerów zawodowych.

Składka członkowska wynosi zł. 1.50 miesięcznie. Prezesem Okręgu Wileńskiego jest inż. J. Staszewski, prezesem gniazda Wileńskiego — inż. G. Piotrowski, vice-prezesami gniazda — mec. Z. Jasiński i p. W. Plebańczyk, naczelnikiem Okręgu — p. R. Czyżewski, kierownikami technicznymi — pp. R. Grygiel, W. Łukaszewicz i M. Tomaszewski.

Związek Strzelecki — Okrąg Wileński (ul. Dominikańska 13).

Celem Związku Strzeleckiego jest wychowanie obywatela-żołnierza. Drogami, prowadzącymi do celu, jest praca kulturalno-oświatowa, wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe.

Członkami czynnymi Związku jest młodzież pozaszkolna i rezerwiści. Na czele Okręgu Wileńskiego Zw. Strzel. stoi Zarząd Okręgu z prezesem Abramowiczem Witoldem i Komenda z komendantem Okręgu kpt. rez. Młodkowskim Tadeuszem. Inspektorem Okręgu jest Komendant Obwodu Wileńskiego Muzyczka Ludwik.

Okrąg dzieli się na Obwody, te zaś na oddziały. Teren powiatu jest terenem Obwodu Związku. Okrąg Wileński liczy do 2,500 członków czynnych. Praca przysposobienia wojskowego prowadzona jest w ścisłym kontakcie z władzami wojskowymi i przy wybitnej współpracy instruktorów wojskowych. Obok instruktorów wojskowych pracę przysposobienia wojskowego prowadzą instruktorzy cywilni Związku.

Stowarzyszenie Dowborczyków „Ku Chwa- le Ojczyzny” (zaul. Ś-to Michalski 2).

Okrąg Wileński Stowarzyszenia powołano do życia w dniu 7.V.22 r. na Zjeździe zdemobilizowanych oficerów i szeregowych b. 1 Korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego, zamieszkałych w województwie Wileńskim.

W skład obecnego Zarządu wchodzi: generał F. Ostrowski—prezes honorowy, por. rez. W. Śmilgiewicz—prezes czynny, por. rez. W. Kiersnowski—I wice-prezes, ppor. rez. C. Eysmont—II wice-prezes, kap. rez. S. Bukowski — sekretarz, ppor. rez. P. Nagrodzki—zastępca sekretarza, por. rez. B. Ku-

leśński—skarbnik, por. rez. A. Pietraszun i kapral rez. G. Cuknik — członkowie.

Oddziały i placówki na prowincji: w Brasławiu, Głębokiem, Oszmianie, Postawach, Święcianach, Wilejce, Dziśnie, Miorach, Świrze, Żodziszkach i Komajach.

Cel i zadanie Stowarzyszenia: utrzymanie łączności, wzajemna pomoc i praca dla dobra Kraju, streszczająca się w hasło „Ku Chwale Ojczyzny”.

Przy Okręgu istnieje oddział reprezentacyjny w historycznych mundurach I Korpusu.

Związek Hallerczyków — Chorągiew Wileńska (Uniwersytecka, 1).

Placówka wileńska Związku została zorganizowana w październiku r. 1924, lecz już w grudniu przekształcona na Chorągiew Wileńską, która rozwija działalność w kierunku niesienia pomocy moralnej i materialnej swym członkom i wogóle b. Hallerczykom, ich wdowom i sierotom, oraz dba o utrzymanie ducha karności i starych tradycji wojskowych.

Zgodnie ze statutem Chorągiew prowadzi akcję przysposobienia wojskowego wśród swych członków, ograniczając się narazie, z braku pomocy ze strony odpowiednich czynników, do ćwiczeń gimnastycznych oraz wojskowych bez broni.

Chorągiew wileńska ma placówki w Suwałkach (prezes — por. rez. K. Sielewicz) i Opsie (prezes — chor. rez. E. Pietkiewicz) w Wiczach (prezes — pl. rez. A. Szerkszeń) oraz w stadium organizacji — w Grodnie, Głębokiem, Dziśnie, Wilejce i Krasnem.

Chorągiew niejednokrotnie była lustrwana przez gen. J. Hallera, który udekorował „Mieczami Hallerowskimi” szereg osób. Prezydium zarządu Chorągwi stanowią: prezes honorowy — gen. bryg. M. Osikowski, prezes — J. Siewicz, vice-prezes i Komendant Chorągwi — kpt. pil. rez. M. Wojewódzki i sekretarz — ppr. rez. M. Narbutowicz.

Związek Legionistów Polskich (Ludwisarska 7 m. 4) skupia legionistów polskich, którzy jako żołnierze walczyli przeciwko Rosji o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1914—1918.

Związek ma za zadanie — prócz działalności samopomocowej, zbierania i publikowania materiałów historycznych, dotyczących walki o nowoczesną Polskę — prowadzenie dalszej zbiorowej pracy nad utrwaleniem bytu Rzplitej Polskiej i jej rozwoju w kierunku demokratycznym i republikańskim. Uznaje, iż podobnie jak idea, która prowadziła dnia 6 sierpnia 1914 r. w bój legionistów pod wodzą Komendanta Józefa Piłsudskiego, było wywalczenie Niepodległości przez samodzielny polski czyn zbrojny — tak obecnie tytułem do udziału w rządach Rzplitej jest praca i wysiłek, lecz nie spekulacja na pracy cudzej oparta i zyski z cudzego ciągnąca wysiłku, — zasługa osobista lecz nie przywilej stanowy lub cudzą nabyty zasługa.

Na podstawie uchwał II i III Zjazdów Zw. Legionistów została ustanowiona jedna wspólna dla wszystkich brygad odznaka: Krzyż Legionowy. Do „Biura Okręgowego Komisji Kwalifikacyjnej Krzyża Legionowego” w Wilnie należą obywatele: Tadeusz Młodkowski kpt. rez., Stefan Mydlarz por. rez., Józef Fela kpt. rez., Władysław Kamiński kpt. rez. i Władysław Małski kpt. rez.

Związek Podoficerów Rezerwy Województwa Wileńskiego (ul. Orzeszkowej, 11 m. 24).

Na terenie Wileńszczyzny powstał Związek Podoficerów Rezerwy. Założycielami są p. p. Stanisław Rzewuski, Romuald Zawadzki, Romuald Gintowt, Leonard Lemieszewski i kilku innych. Statut został zalegalizowany 19 lutego 1926 r., zaś 23 tegoż miesiąca zostało zwołane ogólne zebranie, na którym powołany został Zarząd Tymcz. w składzie powyższych 4 osób i piątej osoby p. Wacława Stankiewicza — wszyscy zamieszkali w Wilnie. Również powołano do życia Komisję finansową z osób stojących poza Zarządem. Zgłoszenia przyjmowane są codziennie w godz. wieczornych między 6 — 7. Głównym celem Związku jest samopomoc, szczególnie dla swych bezrobotnych członków i kultywowanie oraz przysposobianie wojskowe. W tym ostatnim wypadku przyobiecał łaskawe poparcie pan pułkownik Bolesław Popowicz.

Związek Inwalidów Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej — Koło Okręgowe w Wilnie (Ostrobramska 19).

Związek ma na celu poprawę i zabezpieczenie bytu materialnego inwalidów wojskowych oraz ich rodzin, jak również wdów i sierot po poległych.

W tym celu Związek przedewszystkiem ubiega się o koncesję dla swych członków i dba o ich sprawiedliwy podział.

Koło Okręgu Wileńskiego, po ugruntowaniu podstaw organizacyjno-społecznych, wchodzi obecnie w drugą fazę rozwoju, a mianowicie — wzmocnienia swego stanowiska ekonomicznego.

Liga Obrony Powietrznej Państwa (L. O. P. P.) dąży do stworzenia w Polsce silnego

lotnictwa, głosi art. 2 statutu.

Środkami działalności są:

- a) Propaganda lotnictwa w słowie i piśmie
- b) Popieranie działalności naukowej i doświadczalnej w zakresie lotnictwa.
- c) Popieranie komunikacji lotniczej w Państwie, zakładanie lotnisk i urządzeń lotniczych.
- d) Budzenie inicjatywy przemysłowej na polu lotnictwa.

Środki na wykonanie tak szeroko zakreślonego programu czerpie Liga przedewszystkiem z wpisowych, opłat członkowskich, ofiar, zapisów, darowizn, oraz z dochodów nadzwyczajnych. Ogólna ilość członków sięga 400.000.

L. O. P. P. uruchomiła pierwszą cywilną szkołę pilotów w Poznaniu, zbudowała port lotniczy w Łodzi, zakupiła teren na lotnisko w Katowicach, buduje hangary lotnicze, uruchamia stacje aerologiczne, przeznaczane do badań prądów powietrznych, organizuje kursy mechaników lotniczych, modelarzy, prelegentów, udzieliła kilku stypendjów na wyższe studia lotnicze zagranicą, zakupiła do własnych eskadr szereg samolotów, z których „Ziemia Wileńska” i „Samolot Samorządów Powiatu Wileńsko-Trockiego” przeznaczone są do eskadry propagandowej L. O. P. P. Przy wybitnej pomocy profesora Uniwersytetu Stefana Batorego K. Jantzena założono własną stację aerologiczną, uruchomiono w szkołach średnich modelarnie lotnicze, zorganizowano dwa kursy prelegentów, którzy, objeżdżając całe Województwo, wygłosili już przeszło sto odczytów.

Sekretariat Komitetu Wojewódzkiego Wileńskiego mieści się we własnym lokalu przy ul. Wielkiej 34.

Wileński Oddział Towarzystwa Obrony Przeciwgazowej (ul. Objazdowa 2, Zakład Formakognozi U. S. B.).

Oddział Wojewódzki Wileński T-wa Obrony Przeciwgazowej został zawiązany jako Komitet Obrony Przeciwgazowej na zebraniu organizacyjnym w dniu 20.III 24 r.

W lutym 1925 r. na walnem zgromadzeniu wybrano Zarząd, do którego weszli: prof. J. Muszyński—przewodniczący, pułk. S. Pasławski—wice-przewodniczący, prof. W. Kraszewski—skarbnik, por. Szagon—sekretarz, pułk. K. Schally i p. S. Trzeciak—członkowie. Komitet werbował członków, zbierał składki i prowadził działalność propagandową. Członkowie Towarzystwa ogłosili szereg odczytów w Wilnie i w miastach prowincjonalnych.

W roku bieżącym Wileński Oddział T-wa zamierza rozpocząć intensywną pracę na prowincji i stworzyć instytucję prelegentów objazdowych.

Wileński Oddział Okręgowy Ligi Morskiej i Rzecznej powstał w 1923 r., licząc od razu przeszło 300 członków, obecnie ilość ta dosięga—1000. Posiada Oddziały w Grodnie, Trokach, Święcianach i cały szereg agentur w miastach i miasteczkach Wileńszczyzny.

Liga ma na celu uświadomienie społeczeństwa o ważności posiadania dostępu do morza, rozwój floty handlowo-morskiej i śródlądowej, oraz w ostatnim czasie — rozbudzenie zamiłowania do sportu wodnego żaglowego.

Liga utrzymuje dwa stypendja—w szkole Morskiej w Tczewie i na wydziale budowy okrętów na Politechnice w Gdańsku.

W 1925 r. Liga urządziła na terenie całej Polski „Tydzień Bandery” na utworzenie funduszu na nabycie statku morskiego dla marynarki wojennej. Znamienne jest, iż Wileński Oddział Okręgowy Ligi Morskiej i Rzecznej jest popierany szczególnie przez kupców i handlowców, którzy też w Zarządzie Oddziału są reprezentowani b. licznie.

Prezydium zarządu stanowią: prezes K. Wimbor, wice-prezesi p. p. B. Bosiacki i J. Sobecki, sekretarz J. Rochowicz i skarbnik W. Szumański.

Sekretariat mieści się przy zauł. Bernardyńskim 8 i czynny w poniedziałki i środy od 1½—3½ godz. i w inne dni od 17—19 godz.

Polskie T-wo Czerwonego Krzyża istnieje na zasadach uchwał Konwencji Genewskiej z 1864 r., Konwencji Haagskiej z 1899 r., oraz Konwencji Genewskiej z 1906 r., zastosowanych do wojny morskiej w 1907 r., do których to Konwencji Państwo Polskie przystąpiło.

Celem T-wa jest:

- a) w czasie wojny: współdziałanie z polskimi władzami wojskowymi w udzielaniu pomocy rannym i chorym wojskowym i inwalidom armii ojczystej, armii sprzymierzonych i armii nieprzyjacielskiej, jak również współdziałanie z władzami państwowymi w opiece nad jeńcami i ludnością cywilną.
- b) w czasie pokoju: przygotowanie i gromadzenie środków w celu jaknajszerszego spełnie-

nia zadań T-wa w czasie wojny; współdziałanie z władzami państwowymi i organizacjami społecznymi w akcji ogólnie-sanitarnej i ratunkowej, w udzielaniu pomocy w wypadkach klęsk żywiołowych, epidemjach i katastrofach.

Wileński Oddział Czerwonego Krzyża, (Zawal-na 3) istniejący od założenia w Polsce T-wa Czerwonego Krzyża, w roku bieżącym przemianowany przez Gł. Zarząd C. K. P. na Okrąg, posiada kilka Oddziałów C. K. P. w miastach powiat. wojewódz. Wileńskiego. Przy jednym z oddziałów, w Dukstach, istnieje ambulans C. K. P., który niesie zbawienną pomoc lekarską biednej miejscowej ludności.

Na czele Zarządu Okręgu stoją: prezes Ludwik Uniechowski, wice-prezesi: doktor Jan Michniewicz i profesor Jan Szmurło. Okręg posiada trzy sekcje: Sekcję Sióstr Miłosierdzia C. K. P., Sekcję Kół Młodzieży C. K. P. i Sekcję Propagandy i Dochodów Niestałych.

Fundusze na umożliwienie swej działalności Okręg czerpie ze składek członkowskich, zbiórki w „Tygodniku C. K. P.”, sprzedaży znaczków, ofiar, urządzanych balów i zabaw.

Polski Biały Krzyż jest stowarzyszeniem mającym na celu pracę kulturalno-oświatową dla żołnierza i posiadającym obecnie 227 członków.

Oddział Wileński P. B. K. prowadzi finansowane przez D. O. K. kursy metodyczno-oświatowe dla młodszych oficerów, celem przygotowania referentów oświatowych w wojsku i wykładowców w myśl najnowszych metod pedagogiczno-dydaktycznych.

Prócz tego uruchomiono we wrześniu r. z. finansowany wyłącznie przez Oddział Wileński P. B. K. 6-tygodniowy kurs metodyczny dla podoficerów.

Każdy z powyższych kursów był wyposażony w biblioteczkę pedagogiczną i odbył szereg wycieczek oświatowych.

W grudniu 1924 r. zorganizowano nadto Uniwersytet żołnierski, jako szereg zamkniętych co do treści wykładów z różnych dziedzin naukowych. Wykładów było 42 przy 2.330 słuchaczach.

W dziale czytelnictwa stworzono dotychczas 4 ruchome biblioteczki w zamkniętych szafkach, zawierające po 100 dzieł, które mają przeznaczenie krążeń w oddziałach wojskowych małych garnizonów. Prócz tego stworzono 5 mniejszych biblioteczek po 20 dzieł dla słuchaczy uniwersytetu żołnierskiego.

W dziale akcji oświatowo-estetycznej urządzono w 1924 roku 44 wycieczek po Wilnie przy udziale 1313 osób. Nadto urządzono dwa przedstawienia teatralne i jeden poranek muzyczny z prelekcją.

Oprócz tego Polski Biały Krzyż w Wilnie uruchomił dla żołnierzy kurs rolniczo-gospodarczy, który trwał od 7 kwietnia do końca czerwca 1925 r. przy około 300 słuchaczach, oraz zamierza w najbliższej przyszłości zorganizować także kursa ręcznicze dla żołnierzy.

Oddział Wileński P. B. K. poza pomocą, otrzymywaną od Naczelnego Zarządu P. B. K. w postaci kajetów, ołówków i podręczników szkolnych, nie otrzymuje żadnych subwencji rządowych i czerpie środki na urzeczywistnienie swych celów li tylko ze składek członkowskich, kwest i urządzanych imprez dochodowych.

Do prezydium obecnego Zarządu Oddziału P. B. K. w Wilnie, prócz prezesa Jana Popowicza, wchodzi: jako wice-prezesi — pułk. Czuma Walerjan i ks. Piotr Sledziewski, jako skarbnik p. Malecki Stanisław i jako sekretarz p. Teodorowicz Nestor.

T-wo Pomocy Żołnierzowi Polskiemu (Dominikańska 13).

Powstało w 1919 r. z chwilą wejścia Wojsk Polskich do Wilna.

Zadaniem T-wa jest pomoc żołnierzowi i opieka nad dziećmi poległych i inwalidów.

W czasie wojny T-wo okazywało pomoc doraźną w sposób wydatny, jak: uzupełnianie braków ubrania, bielizny, stwarzanie czołówek żywności-

wych, kantyn, urządzenie obchodów, przedstawień, zabaw, co razem tworzyło Dom Żołnierza. W okresie podemobilizacyjnym żywiło licznych, pozbawionych oparcia, zdemobilizowanych żołnierzy; w czasie pokojowym funkcjonuje obecnie biblioteka i tania jadalnia. Główna praca poświęcona Ochronce i Bursie Szkół średn. im. J. Piłsudskiego, w której T-wo P. Ż. P. utrzymuje 40 sierot—chłopców. W lokalu T-wa w sezonie letnim przyjmowane są wycieczki młodzieży szkolnej, harcerstwa, oddziałów przysposobienia rezerw i sportowe.

Zarząd T-wa: p. p. E. Dawidowska, St. Kijakowska, A. Sztrallowa, A. Wejmarnowa, K. Wojciechowska i H. Wilczewska.



Publiczność na boisku sportowym 6 p. p. leg. — podczas zawodów

SPIS RZECZY:

	<i>Str.</i>
X. D-r WŁADYSŁAW BANDURSKI, Biskup	
Sursum corda! - - - - -	4
KOMITET REDAKCYJNY	
Na szlaku Batorego - - - - -	7
EDWARD RYDZ - ŚMIGŁY, Generał dywizji, Inspektor armji	
Praca oficera rezerwy - - - - -	12
STANISŁAW CIOZDA, Dyrektor Polskiej Macierzy Szkolnej w Wilnie	
Uwagi na dobie - - - - -	16
WŁADYSŁAW KAMIŃSKI, Sekretarz Rady Wojew. Osadników ziemi Wileńskiej	
Kilka uwag w sprawie programu - - - - -	18
L. W. KOC, Major S. G.	
Szlakiem Batorego - - - - -	21
D-r RYSZARD MIENICKI, Docent U. S. B.	
Usza - - - - -	37
X. D-r IGNACY ŚWIRSKI, Dziekan Wydziału Teologicznego U. S. B.	
Wiązanka wspomnień z pracy duszpasterskiej - - - - -	39
D-r STANISŁAW PIGON, Profesor U. S. B.	
Szermierz obskurantyzmu - - - - -	53
TADEUSZ ŁOPALEWSKI, Literat	
Zeromski, jako poeta walki - - - - -	61
ROMAN SAKOWICZ, Podprokurator Sądu Okręgowego	
Niewierna rzeka - - - - -	65
WALERJAN CHARKIEWICZ, Nauczyciel gimnazjalny	
Haller idzie! - - - - -	67
D-r JANINA HURYNOWICZÓWNA, Asystentka Kliniki Neurologicznej U. S. B.	
Z Syberji - - - - -	73
WŁADYSŁAW KOSPOTH - PAWŁOWSKI, Nauczyciel gimnazjalny	
Odwrót - - - - -	76
ZBIGNIEW CIS - BANKIEWICZ, Dziennikarz	
Wojsko a sport - - - - -	81
WŁADYSŁAW KAMIŃSKI, Sekretarz Rady Wojew. Osadników ziemi Wileńskiej	
Osadnictwo wojskowe Wileńszczyzny - - - - -	84
ZWIĄZEK OFICERÓW REZERWY	
Okrąg Wileński - - - - -	87
DZIAŁ INFORMACYJNY - - - - -	90

SPIS ILUSTRACYJ:

AUTOGRAFY :	str.
Marszałka J. Piłsudskiego - - - - -	3
Gen. broni J. Dowbora - Muśnickiego - - - - -	6
Gen. broni J. Hallera - - - - -	6
Gen. broni L. Żeligowskiego - - - - -	11
REPRODUKCJE OBRAZÓW ARTYSTÓW WILEŃSKICH :	
<i>Stanisław Matusiak :</i>	
Śmierć Bekiesza - - - - -	31
Bitwa - - - - -	36
Walka Młodzieńca z Bazyliszkiem - - - - -	60
<i>Jerzy Hoppen:</i>	
Katedra Wileńska - - - - -	44
Pohulanka przed 100 laty - - - - -	45

Fotografie, winjety, karykatury.

Okladkę rysował na kamieniu *Ignacy Widawski*.

Kierownik artystyczny
IGNACY WIDAWSKI.

Redaktor
WALERJAN CHARKIEWICZ.

Wykonano w drukarni „LUX”
pod zarządem Korwin-Piotrowskiego
Układ pod kierunkiem K. Kaczyńskiego
Druk wykonał na maszynie Ludwik Rakowski
Klisze wykonane w zakładzie cynkograficznym Zaniewskiego

Ważne dla pracowni kapeluszy damskich!

PIERWSZE POLSKIE ZAKŁADY
TKANINY DRZEWNEJ
J. SOBECKI i S^{KA}

W Wilnie, ul. Szeptyckiego 12.

SPECJALNY DZIAŁ TKANIN WZORZYSTYCH

**Polecają pierwszej jakości wyroby tkaniny drzewnej
(łyeczko, sparterje) miękkie i podklejane w hurcie i detalu.
Ceny o 25⁰/₀ niższe od tego rodzaju wyrobów czeskich.**

**Towarzystwo dla handlu towarami aptecznymi
i perfumeryjnymi**

„I. B. SEGALL“

W WILNIE
Sp. Akc.

Zarząd i składy hurtowe:
ul. Trocka 7, tel. 542.

Sklepy detaliczne:

- 1-szy ul. Trocka 7.
- 2-gi ul. Zamkowa 28 (naprzeciw kość.
św. Jana).
- 3-ci ul. A. Mickiewicza 5 (obok Banku
Państwowego).

Towary apteczne i perfumeryjne.
Naturalne mineralne wody.
**Przedmioty do pielęgnowania
chorych.**
Artykuły gospodarstwa domowego.

WOJSKOWE ZJEDNOCZENIE SPOŻYWCZE

Spółdzielnia z Ogr. Odp. w Warszawie

Oddział w Wilnie
ul. A. Mickiewicza Nr. 13.

SKLEP WIN i WÓDEK
SZ. AKSELROD i SZ. SZWARG

Wilno, Niemiecka 22.

p o l e c a

STARE WINA LECZNICZE:

węgierskie, portugalskie, hiszpańskie, fran-
cuskie, również wódki i likiery krajowe
i zagraniczne.

Ceny hurtowe.

WILEŃSKI PRYWATNY BANK HANDLOWY

ZAŁOŻONY W 1873 ROKU

BANK DEWIZOWY

INSTYTUCJA CENTRALNA W WILNIE, UL. MICKIEWICZA 8.

TELEFONY: 316, 350, 408, 445 i 816.

ODDZIAŁY:

I Miejski w Wilnie ul. Wielka 24 tel. 737.

Lida.

Suwałki.

Warszawa.

ZAŁATWIA WSZELKIE OPERACJE WCHODZĄCE W ZAKRES
BANKOWOŚCI.

Wileński Dom Tow. - Przemysłowy

Br. Jabłkowscy

WILNO, MICKIEWICZA 18.

Towary włókniste, konfekcja i galanterja męska, norymberszczyzna, perfumerja, porcelana, cukry.

RESTAURACJA

St. GEORGES

W WILNIE

Podczas obiadów i kolacji przygrywa kwartet.

MAGAZYN MEBLI

BCIA S. i Sz. OLKIN

WILNO, UL. NIEMIECKA 3.
Telefon Nr. 362.

Egzystuje od roku 1840

Meble stołowe, sypialne, gabine-
towe, salonowe i inne.

Jan Wokulski i S^{ka}

Wilno, ul. Wielka 9.

BIELIZNA,
PALTA,
GALANTERJA,
OBUWIE i t. d.

Wielki wybór. Ceny przystępne.

RESTAURACJA „WARSZAWIANKA”

S-KI WARSZAWSKICH PRACOWNIKÓW GASTRON.

WILNO, UL. WILEŃSKA Nr. 38.

OBIADY KLUBOWE I URZĘDOWE

PODCZAS OBIADÓW I KOLACJI PRZYGRYWA
ZNAKOMITY KWINTET ORKIESTRY SALONOWEJ

RESTAURACJA OTWARTA DO GODZ. 3-ej W NOCY

Z poważaniem **ZARZĄD.**

ELEKTROLUX

Sp. z ogr. odp.

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDM. 4.

ODDZIAŁ W WILNIE:

UL. MICKIEWICZA 5. TEL. 335.

**ELEKTRYCZNE APARATY
DO ODKURZANIA.**

WŁADYSŁAW BORKOWSKI

WILNO

Mickiewicza 5. S-to Jańska 1.

Materiały piśmienne, rysunkowe, malarskie,
kreślarskie. Szapirografy, numeratory, galan-
terja biurowa i skórzana. Obrazy, ramy, za-
bawki. Bilety wizytowe.

CENY KONKURENCYJNE.

K. DĄBROWSKA

WILNO, NIEMIECKA 3, m. 6.



**PIANINA,
FISHARMONJE
I FORTEPJANY
do wdzierżawienia.**

**Strojenie i reparacje
Fachowa ocena instrumentów.**

CUKIERNIA i PIEKARNIA

B^{cia} J. i S. BUKOWSCY

Wilno, ul. Wielka Nr. 12.

ROMAN RUCIŃSKI

Wilno, ul. Wielka 30.

Tel. 253.

WYROBY LNIANE

I BAWELNIANE

WEŁNY

JEDWABIE

PLUSZE

FIRANKI i t.p.

J. BUKOWSKI i I. DAGIS

(dawn. Edw. Fechtel)

Wilno, ul. Wielka Nr. 8

TELEFON 441.

Specjalność:

WINA i WYROBY WÓD-
CZANE FIRM PIERWSZO-
RZĘDNYCH KRAJOWYCH
I ZAGRANICZNYCH

Dostawa do domu gratis

FABRYKA WÓDEK i LIKIERÓW

T-wa „PALMA”

Wilno, Piłsudskiego 26.

Telefon 703.

BIURO: Szopenowska 1.

Telefon 279.

Żądajcie wszędzie
znane ze swej dobroci

WYROBY WÓDCZANE

UBRANIA

WOJSKOWE i CYWILNE

NA ZAMÓWIENIA i GOTOWE

Juljan Nowicki i Syn

WILNO, UL. WIELKA 24.

TELEFON 292.

OZDOBY WOJSKOWE ARTYKUŁY PODRÓŻY

PIERWSZORZĘDNY HOTEL EUROPEJSKI

WILNO, UL. DOMINIKAŃSKA 1.

GRUNTOWNIE ODRESTAUROWANY,
NUMERY KOMFORTOWE, DOBRA
OBSŁUGA, CENY PRZYSTĘPNE.

PRZY HOTELU
PIERWSZORZĘDNA RESTAURACJA

**Dom Handlowy
Antoni Januszewicz**

Wilno,
ulica Zamkowa (Wielka) 20^a

SKŁAD
WIN, DELIKATESÓW
I TOWARÓW KOLONJALNYCH.

**Zakład Krawiecki
Michał Piech i Syn**

w Wilnie

ulica Zamkowa Nr. 10.

**KRAWIEC
WOJSKOWY i CYWILNY
O. ZYSKIND**

Wilno, ul. Wielka d. Nr. 14.
Obok Księgarni Syrkina.

Wykonuje wszelkie
obstalunki z wła-
snego i powierzono-
nego materiału.

CENY STAŁE.

Wykonanie solidne i akuratne.

Specjalność firmy — ubrania wojskowe.

DOM BANKOWY T. BUNIMOWICZ

BANK DEWIZOWY

WILNO, WIELKA 44

Adr. telegr.: „BUNIMOWBANK“

Telefony: 257, 270 i 830

Przyjmuje na oprocentowanie Zł. pol., wszelkie waluty zagraniczne i ruble zł. (na rachunki bieżące i wkłady terminowe). Załatwia przekazy krajowe i zagraniczne (m. in. do Rosji i Litwy), oraz załatwia wszelkie inne czynności w zakres bankowości wchodzące.

Wynajem stalowych kasetek (safes) opancerzonych.

„DJAMANT”

(wł. B. Lewin)

WILNO, *

WIELKA 50.

KUPNO I SPRZEDAŻ ZŁOTA, SREBRA,
PLATYNY I DROGICH KAMIENI PO CE-
NACH KONKURENCYJNYCH. NAPRAWA
ZEGARKÓW Z GWARANCJĄ
I BIŻUTERJI.

ZAKŁAD POGRZEBOWY

P. D O W B Ó R

WILNO, UL. WIELKA Nr. 5.

Trumny metalowe, dębowe i zwyczajne od najtańszych do najwspanialszych, oraz specjalne do ekshumacji zwłok. Wieńce, szarfy, napisy, krepa, szale grenadinowe i inne artykuły żałobne. Karawany zakładu wyróżniają się estetyką i powagą, są ściśle zastosowane do przepisów religijnych. Wykonanie zobowiązań najstaranniejsze. Firma istnieje od r. 1896, ciesząc się powszechnym uznaniem.

FIRMA ISTNIEJE OD ROKU 1908.

STANISŁAW KRAKOWSKI

WILNO,

WIELKA 49.

(gmach hotelu „Italia“)

*Sklep żelazno - galanteryjny,
wyrobów stalowych i na-
czyń kuchennych.*

*Narzędzia
ślusarskie, stolar-
skie, ogrodnicze. Brzy-
twy. Scyzoryki. Nożyczki.*

*Nakrycia stołowe i artykuły
gospodarstwa domowego.*

CUKIERNIE K. SZTRAL

WIELKA 2, TEL. 467

MICKIEWICZA 22, TEL. 468
(OBOK BRYSTOLU)

POLECAJĄ:

CUKRY, KARMELKI I CZE-
KOLADĘ WŁASNEJ FABRYKI

„DZIENNIK WILEŃSKI”

najstarsze i najpoczytniejsze pismo Wileńskie. Jest odbiciem życia społecznego i kulturalnego Wileńszczyzny i przyległych województw. Posiada najświeższe wiadomości, otrzymywane codziennie telegraficznie ze wszystkich ważniejszych miast polskich i stolic zagranicznych.

Wychodzi codziennie prócz dni poświęconych.

**Każdej niedzieli wydaje dodatek bezpłatny
na przemiany: literacki i ekonomiczny.**

Prócz tego wszyscy stali prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie „Głos Wileński” pismo tygodniowe dla szerokich mas czytelników wsi i miast.

**Cena prenumeraty (włącznie z dodatkami) mies. 4 zł. kwart. 12 zł.
Adres Wydawnictwa: Wilno, Dominikańska 4, conto w P.K.O. 80187.**

JEDYNY CODZIENNY ORGAN POLSKIEJ MYŚLI MONARCHICZNEJ

„SŁOWO”

WYCHODZI W WILNIE

NAJWIĘKSZE I NAJPOWAŻNIEJSZE PISMO WE WSCHODNIEJ DZIELNICY POLSKI

POŚWIĘCONE SPECJALNIE:

POLSKOŚCI ZIEM WSCHODNICH. KWESTJOM NARODOWOŚCIOWYM W PAŃSTWIE.
POLITYCE BAŁTYCKIEJ I SPRAWOM SPOŁECZEŃSTWA POL-
SKIEGO NA LITWIE KOWIEŃSKIEJ, ŁOTWIE
I BIAŁEJRUSI ZABRANEJ.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI:

Wilno, Mickiewicza 4.

Telefony: 2-28, 2-43, 2-62.

„SŁOWO” POSIADA WŁASNE ODDZIAŁY W NASTĘPUJĄCYCH MIEJSCOWOŚCIACH:

Baranowicze—ul. Szosowa 172

Brasław—ul. 3-go Maja 64

Dukszty—ul. Gen. Berbec-
kiego 10

Duniłowicze—ul. Wileńska 1

Głębokie—ul. Zamkowa 80

Kamień-Koszyrski—Związek
Ziemian

Lida—ul. Majora Mackiewicza 63

Nieśwież—ul. Ratuszowa 1

Nowogródek—ul. Mickiewicza 20

Nowo-Święciany—ul. Wileńska 28

Postawy—ul. Rynek 19

Stołpce—ul. Piłsudskiego 9

St.-Święciany—ul. Rynek 28

Świr—ul. 3-go Maja 5

Wilejka-Powiatowa—Mickie-
wicza 24

PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE
 **ZRAB** 
 WILNO. PIWNIA 15.T.69
**PODEJMUJE SIĘ WYKONANIA WSZEL-
 KICH ROBÓT BUDOWLANYCH
 REMONT KAPITAŁNY. PRZEBUDO-
 WA. KOSZTORYSY. PROJEKTY.**

KURJER WILEŃSKI

**JEDYNE CODZIENNE PISMO DEMOKRATYCZNE
 na Wileńszczyźnie rozpoczęło trzeci rok istnienia**

Wychodzi w Wilnie pod naczelnym kierownictwem
 p. Kazimierza Okulicza i przy najbliższym współ-
 pracownictwie pp. Józefa Batorowicza, Tadeusza
 Łopalewskiego, Heleny Romer - Ochenkowskiej,
 dr. Witolda Staniewicza i Marjana Swiechowskiego.

Stoi na gruncie Republiki; decentralizacji systemu rządzenia i regionalizmu w ży-
 ciu gospodarczo - społecznym, demokracji, federacji wolnych narodów pomię-
 dzy morzem Bałtykiem a Czarnem, pokoju i solidaryzmu międzynarodowego.

Prenumerata miesięczna 4 zł.

Prenumeratę przyjmują: Księgarnia W. Makowskiego, Ś - to Jańska 1, Skład papieru Borkow-
 skiego, Mickiewicza 5. Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklamowe Stefana Gra-
 bowskiego, Mickiewicza 4, róg Garbarskiej, i wszystkie biura reklamowe w kraju i zagranicą.

Adres redakcji i administracji: Wilno, Arsenalska 4, tel. 99.

30
Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317891



000-317891-00-0

